

Cena 5 zł
(w tym 5% vat)
indeks 351245

MP

Miesięcznik Prowincjonalny
pismo o kulturze

Nr 1 (148)
Radom
styczeń-
luty
2015

**Na okładce:**

Budynek Miejskiej Biblioteki Publicznej w Radomiu
fot. Stanisław Zbigniew Kamieński
21 lutego 2015 r.

Radomskie pismo o kulturze
Nr 1 (148)
Radom, styczeń–luty 2015
cena 5 zł ISSN 1506–5391

Temat numeru:
(Od)nowa

Redaguje zespół w składzie:



Anna Skubisz-Szymanowska
– redaktor naczelna



Agata Morgan
– sekretarz redakcji



Halina Bogusz
– korekta



Mariusz A. Dański
– skład i przygotowanie do druku



S. Zbigniew Kamieński



Jerzy Kutkowski



Ilona Michalska-Masiarz



Michał Płoski



Grzegorz Sasin



Anna Spolna



Mieczysław Szewczuk



Robert Utkowski

Wydawca:

Miejska Biblioteka Publiczna
w Radomiu
Adres redakcji:
ul. J. Piłsudskiego 12
26-600 Radom
tel.: 48 360 23 67
fax: 48 363 38 18
e-mail: miesiecznik.radom@op.pl
<http://facebook.com/miesiecznikprowincjonalny>

Materiałów niezamówionych redakcja
nie zwraca i zastrzega sobie prawo
ich skracania i redagowania.
Jednocześnie zapewniamy
integralność treści i formy
utworów literackich.

Prenumeratę

można zamówić
listownie lub osobiście
(Miejska Biblioteka Publiczna
ul. Piłsudskiego 12, 26-600 Radom),
jak również telefonicznie
(48 362 87 88)
i e-mailem
(prom.mbpradom@op.pl)

OD REDAKTORA

Zmiana. To proces. Albo fakt, zdarzenie. Jedno z wielu w procesie.

Wszystko jest zmianą. Zmiany dzieją się bez przerwy. Zachodzą w przyrodzie; te są najbardziej banalne i pospolite. Nie zwracamy na nie uwagi, bez mała traktujemy je jak brak zmian. Zachodzą w życiu społecznym, politycznym, zawodowym, towarzyskim i osobistym każdego z nas, nawet wtedy, kiedy wydaje nam się, że nuda, szarość i mała stabilizacja. Obejrzyjcie zdjęcia sprzed lat kilku, o kilkunastu nie wspomnę.

Zmienia się rzeczywistość, ale także nasze postrzeganie i ocena rzeczywistości.

Stajemy się krytyczni wobec tego co lubiliśmy, uznawaliśmy za dobre czy chociażby wystarczające.

Czasem potrzeba zmiany wynika z chęci dorównania innym. Nagle spostrzegamy, że robimy prawie to samo, ale całkiem inaczej. To nie zawsze znaczy lepiej. Bo lepiej prawie zawsze jest subiektywne. Tak samo jak ładniej.

Nasze pismo ma lat 16, skończone. Przez 16 lat ten sam miesięcznik-dwumiesięcznik i tak samo uniwersalnie-prowincjonalny. Mała stabilizacja.

Czy na pewno? Wystarczy tylko pobieżnie przejrzeć kilka numerów z różnych okresów wydawania czasopisma, aby spostrzec, jak bardzo jest inne. Dostrzegają to nasi stali Czytelnicy. Docierają do nas opinie na temat kolejnych zmian; ostrożnych, powolnych – to nasza opinia.

I nieco nas ta powolność znużyła. Chcemy szybciej i chcemy więcej. Wszak piszemy o kulturze, która jest barwna, różnorodna i pełna nowych propozycji. Opisujemy ją, bo jesteśmy przekonani, że tylko taka ma szansę, aby nie przebrzmieć szybko jak koncert, nie zejść ze sceny jak aktor po kolejnej premierze i nie wrócić do zamkniętego na cztery spusty magazynu jak obraz czy rzeźba po zdjęciu z wystawy.

Dlatego właśnie podjęliśmy decyzję o kolejnych zmianach w „Miesięczniku Prowincjonalnym”. Aktualny numer, pierwszy w nowym roku, jest prezentacją tego, do czego zmierzamy. Nie deklarujemy, że jest to forma ostateczna. Chętnie wysłuchamy Państwa opinii na temat przemiany, w naszej ocenie bardzo istotnej i znaczącej, jedynego takiego pisma w Radomiu.

Anna Skubisz-Szymanowska

Zespół „Miesięcznika Prowincjonalnego”
dziękuje Panu Czesławowi Krukowi
za współfinansowanie wydawnictwa w 2015 roku

Biblioteka jest finansowana przez Gminę Miasta Radomia

SPIS TREŚCI

- 1 | *Od redaktora*
Anna Skubisz-Szymanowska
- WYWIAD 3 | *Muzyczne arboretum*
Krzysztof Majerczyk
- FESTIWAL 10 | *Gombrowicz z przodu i z tyłu*
Tomasz Tyczyński
- 13 | *Czas mija, trwają wspomnienia...*
Krystyna Kasińska
- SZKIC 17 | *Głazy i Tadeusz Kościuszko*
Stanisław Zbigniew Kamieński
- REPORTAŻ 22 | *Miłoserdja w ikoni*
Michał Płoski
- PROZA 27 | *Cukiereczek*
Grzegorz Bartos
- RECENZJA 30 | *Krzyżując szyki mieszając języki...*
Anna Spólna
- PLASTYKA 31 | *Jeszcze o sztuce kobiet i kobietach w sztuce*
Mieczysław Szewczuk
- 34 | *Fotografie „Pewnego ranka...”*
Lidia Ziemińska
- GALERIA PROWINCJONALNA 35 | *Anna Szostek*
- FELIETON 43 | *Odnova. Stale od nowa*
Robert Utkowski
- FOTOREPORTAŻ 45 | *Ponownie w styczniu*
Jerzy Kutkowski
- TEATR 48 | *Głupiego robota...*
Krystyna Kasińska
- PROZA 50 | *Ćwiczenia z wyobraźni...*
Martyna Bielińska
- Z KART HISTORII 52 | *Takie tam bobonienie...*
Ilona Michalska-Masiarz
- KINO 56 | *Ponad czasem*
Grzegorz Sasin
- PRO MEMORIA 59 | *Helena Kisiel (1925–2015)*
59 | *Pani Helena. Wspomnienie*
Sebastian Piątkowski
- 61 | *Jej ślady*
Agata Morgan
- KRONIKA 63 | *grudzień 2014 – styczeń 2015*

w Galerii Prowincjonalnej
PRACE ANNY SZOSTEK

Muzyczne arboretum

Z Maciejem Żółtowskim, dyrektorem naczelnym i artystycznym Radomskiej Orkiestry Kameralnej oraz pomysłodawcą Międzynarodowego Konkursu Kompozytorskiego „Arboretum”, rozmawia **Krzysztof Majerczyk**

Dlaczego postawił Pan na promocję współczesnych kompozytorów i nowych, nieznanych utworów, bo przecież temu ma służyć wymyślony przez Pana i organizowany w Radomiu Międzynarodowy Konkurs Kompozytorski „Arboretum”, którego patronem jest profesor Krzysztof Penderecki? Traktuję to jako swój obowiązek. Jeżeli nie będziemy tego taboru kultury ciągnęli cały czas ze sobą i nie stworzymy możliwości dla kompozytorów, to nasza polska kultura umrze albo wszyscy wyjadą za granicę. Także publiczność zapewne zapomni, że istnieje ktoś taki jak kompozytor, który żyje.

Kiedyś byłem na warsztatach perkusyjnych w Bydgoszczy. Zostałem zaproszony jako twórca, ponieważ jeden z moich utworów był wykonywany i przedstawiono mnie tam: Maciej Żółtowski – kompozytor żyjący. Bardzo mi się to spodobało. Byłem zadowolony – twórcą, który wciąż żyje.

A jednak tacy ludzie istnieją. Przecież w każdej akademii muzycznej w Polsce jest wydział kompozycji i co roku te wydziały kilku młodych twórców wypuszczają. To są bardzo utalentowani ludzie z wieloma pomysłami, którzy we współczesnym świecie muszą się odnajdywać. Często odnajdują się w wielu dziedzinach, bo nie tylko w muzyce poważnej, ale także w muzyce filmowej, w jazzie, w rozrywce najczęściej, bo to im zapewnia chleb, ale wciąż, żeby nie zapomnieć o tym, że są jednak spadkobiercami Chopina czy Bacha, wciąż tworzą. A jeżeli ich muzyka nie będzie wykonywana, to przestaną.

Jak pojawił się pomysł konkursu?

Idea konkursu „Arboretum” zainspirowana została cudzym pomysłem. Kiedyś dostąpiłem zaszczytu bycia finalistą konkursu im. Toru Takemitsu w Tokio. Japończycy co roku organizują festiwal nazwany Composium, który jest połączony z konkursem kompozytorskim, w którym jury stanowi jeden kompozytor. Co roku jest to inna osoba. To są największe nazwiska światowej muzyki. Ja miałem ten zaszczyt, że wtedy wybierał partytury Luciano Berio, już nieżyjący – wielka postać muzyki XX w., wielki modernista włoski. I ci kompozytorzy bardzo chętnie zgadzali się brać udział w takim wydarzeniu. Composium miało stymulować twórczość kompozytorską poprzez chociażby okazję do wykonania utworów przez świetne orkiestry, na przykład Tokyo Symphony Orchestra, jedną z wielu wspaniałych orkiestr japońskich, w Tokio jedną z najlepszych. Takie doświadczenie jest dla współczesnego kompozytora wyjątkowe.

Wiemy, jak trudno zaistnieć twórcom, którzy zależą od jeszcze jednego etapu, jakim jest artystyczne wykonanie. Zanim kompozytor dotrze do słuchacza, musi być jeszcze wykonawca. Malarz czy artysta plastyk ma dużo lepiej, bo jest autorem jakiegoś materialnego dzieła, które później trzeba tylko wystawić. Natomiast tutaj nie dość, że dzieło trzeba wystawić, to jeszcze trzeba znaleźć wykonawców, którzy dany utwór zagrają, co trudniejsze w przypadku kompozycji na orkiestrę, czy symfoniczną, czy nawet kame-



Nagrodzeni kompozytorzy i członkowie jury po ogłoszeniu werdyktu. Pierwszy z prawej – Maciej Żółtowski

ralną. O wiele łatwiej namówić do wykonania utworu solistę, na przykład pianistę, który włączy nowy utwór do swych recitali. W przypadku orkiestry są potrzebne przygotowania, gdy utwór jest już gotowy, trzeba go włączyć do programu, dlatego to orkiestry występują z inicjatywą. Chcą zorganizować konkurs i chcą utwory wykonać.

Pomysł przeszczepienia japońskiego projektu na grunt polski pojawił się podczas spotkania z prezydentem Radomia Andrzejem Kosztowniakiem. Planowano wtedy pozyskanie patrona sali koncertowej w nowo wybudowanej szkole muzycznej w osobie Krzysztofa Pendereckiego. Obecny na spotkaniu Paweł Dycht zapytał mnie, jak można by zaangażować profesora Pendereckiego w nasze życie kulturalne – tutaj przypominało mi się Compositum i jego główna idea. Potem była nazwa inspirowana życiową pasją naszego Mistrza.

Jest Pan finalistą III edycji tego prestiżowego japońskiego konkursu, a także laureatem II nagrody (ex aequo z Maciejem Zielińskim) w Konkursie Kompozytorskim „Musica sacra” (1995 r.). Czy emocje i doświadczenia zdobyte podczas tych konkursów kompozytorskich pomogły Panu w organizacji radomskiego konkursu i w pełniejszym zrozumieniu jego idei?

Z pewnością. Nie tylko konkursy kompozytorskie, ale też wykonawcze. Brałem także udział w wielu konkursach dyrygenckich. Wiem, jakie się z tym wiążą emocje, i co znaczą konkursy dla młodego człowieka.

W 2012 r., gdy wystartował konkurs „Arboretum”, nadesłano 47 prac. W tegorocznym finale zabrzmiało sześć spośród 118 dzieł wybranych przez komisję konkursową, która przejrzała nadesłane prace. Jakie kryteria brało pod uwagę jury? Co było szczególnie ważne w wyborze prac?

Na pierwszym miejscu stawialiśmy oryginalność.

Praca kompozytora jest współcześnie niezwykle złożona. Słuchacz ma do dyspozycji ogromny repertuar. Operujemy przecież na co dzień repertuarem z okresu 300 lat. Wobec tego i w kulturze muzycznej różne wątki, różne style bardzo się przeplatają. Kompozytorzy także są słuchaczami. Bardzo często w ich twórczości można od razu usłyszeć, czego kompozytor słucha. Takie związki są oczywiście nieuniknione. One zawsze istniały. Z tym, że nie dotyczyły tak ogromnego zakresu historycznego.

Wielu kompozytorów jest pod wpływem jakiegoś określonego stylu, określonego prądu. Jeszcze w drugiej połowie XX w., w latach 50. i 60., to, co było melodią z akompaniamentem, było *passé*, natomiast to, co operowało językiem tzw. atonalnym, czyli nieodwołującym się do żadnych tonacji czy skal muzycznych znanych z przeszłości, i które eksplorowało nowe brzmienia wydobywane z instrumentów, często bardzo niekonwencjonalnie traktowanych, tutaj mam na myśli sonoryzm, to te kompozycje właśnie były oryginalne. W tej chwili już takiego jasnego podziału nie ma. Mamy do czynienia z wpływami postmodernizmu, w którym różne style, różne gatunki muzyczne się mieszają, są wykorzystywane jako cytaty, nawet jako jakiś metacytat. Kompozytorzy cytują się wzajemnie, puszczając oko do publiczności. W tym oceanie możliwości muzycznych bardzo ciężko się zorientować w oryginalności danego utworu.

Z tym się wiąże problem zapisu muzycznego. Wiadomo, że jury pierwszego etapu ocenia prace na podstawie partytur. Czytamy bez możliwości usłyszenia utworu, musimy polegać wyłącznie na uchu wewnętrznym. Członkowie jury są kompozytorami, dlatego ten słuch mamy wyrobiony, ale poprzez wielość sposobów notacji muzycznej jest

to trudne. Są takie utwory, w których trzeba sięgać do legendy, do opisu konkretnych symboli, ponieważ kompozytor wypracowuje własne sposoby notacji, które wzbogacają tradycyjną notację muzyczną. Wtedy odczytanie tekstu zajmuje dużo czasu. Przy takiej wielkiej różnorodności stylistycznej trudno ocenić, która praca jest bardziej oryginalna od innych. Na pewno jest to osąd obciążony dużym błędem. Błąd musi być wkalkulowany w ten konkurs. Tu nie zaprzeczam. Jedynym procesem sprawdzalnym powiedzmy przynajmniej w 90 proc. jest drugi etap konkursu, w którym prace są już wykonywane, czyli mamy do czynienia ze zderzeniem faktycznego dźwięku z osądem jury, z osądem publiczności.

Czy studiując nadesłane partytury podczas prac w jury, jednocześnie myślał Pan o ich wykonaniu, o ostatecznym ukształtowaniu ich interpretacji?

Tak. I to jest właśnie drugi element oceny. Pierwszym jest oryginalność. Drugim wykonalność. Musimy też oglądać partytury pod kątem uczciwości w ich prezentacji. Na ile jesteśmy w stanie uczciwie oddać to, co jest w partyturze. Są takie partytury, których wykonanie jest niesłychanie trudne. Są tak najeżone trudnościami, że przy niepewnym efekcie ryzykujemy, że nie będziemy uczciwi względem kompozytora, grając te utwory. Pamiętajmy, że na przygotowanie wykonania mamy zaledwie kilka dni. Trzy dni w sumie. Nie jest to proste. Dlatego przy oglądaniu partytur także staramy się wyobrazić sobie, jakie każdy utwór stawia trudności i jednocześnie jakie ma możliwości interpretacyjne.

W finale konkursu byliśmy świadkami sześciu światowych prawykonan, przygotowanych i wykonanych przez Radomską Orkiestrę Kameralną pod Pana batutą. Laureaci gratulowali wykonania Panu i orkiestrze.

Czy zatem prezentacja utworów ograniczyła się tylko do odegrania tego, co kompozytor zawarł w notacji muzycznej, czy też mieliśmy do czynienia z pewnym zaskoczeniem kompozytorów – subiektywną wizją dyrygenta i jego zespołu?

W drugiej edycji konkursu mieliśmy do czynienia z kompozytorami już bardzo doświadczonymi, którzy bardzo dokładnie swoją wizję zapisali w partyturze. Brali także udział w próbach orkiestry. W czasie tych prób pewne rzeczy korygowali. Mieli bardzo określone wizje swojego utworu. Oczywiście, takie aspekty dzieła jak na przykład dokładne tempo, które zależy tylko i wyłącznie od dyrygenta, kompozytorzy mogą jedynie zasugerować. Woleli oni żeby, na przykład, w danym miejscu grać trochę szybciej albo wolniej mimo innego oznaczenia metronomicznego. Pamiętajmy o tym, że sposób interpretacji dzieła zależy też od muzyków, którzy mają określone przyzwyczajenia, którzy grają na instrumentach o określonym brzmieniu. Ważna jest również akustyka sali. Inaczej będziemy przygotowywać utwór w sali koncertowej Radomskiej Orkiestry Kameralnej, a inaczej w Zespole Szkół Muzycznych w sali im. Krzysztofa Pendereckiego. Tak różne warunki akustyczne zmuszają nas do zmiany nastawienia do utworu.

Czy kompozytorzy, nadsyłając prace na konkurs, mieli tylko teoretyczną wizję swojego dzieła, czy też mieli szansę wcześniej usłyszeć go próbnie przez konfrontację z orkiestrą?

Niestety, nie jest to takie proste, chociaż technologia, która się bardzo rozwinęła, pozwala kompozytorowi usłyszeć wersję elektroniczną dzieła w zaciszu swojego domowego studia. Jest to możliwe, ponieważ programy do edycji nut stały się powszechne, nie są już jedynie domeną wielkich wydawnictw muzycznych. Każdy w domu na swo-

im komputerze może składać nuty w wersji elektronicznej. Komputery zatem umożliwiają odsłuchanie poprzez samplery wbudowane w programy jakby namiastki wykonania. Chociaż wiem, że wielu kompozytorów unika tego, ponieważ uważa, że takie działanie ogranicza wyobraźnię. Jeden z kompozytorów, którego dzieło graliśmy podczas finału, Fabio Nieder, nadesłał partyturę pisaną ręcznie. Nawet głosy, czyli te materiały dawane muzykom, pisane były ręcznie, całkowicie bez użycia komputera, i było to celowe działanie.

Jego „Trzy niedokończone portrety dla orkiestry smyczkowej” bardzo przypadły mi do gustu.

Ta kompozycja bardzo się podobała wielu muzykom. To ciekawy utwór, który, jak to mówią, miał mało nut, a dużo wyrazu.

Czy udział w „Arboretum” wykonawców z różnych stron świata ukazuje Pana zdaniem w pewnym sensie panoramę nowej myśli kompozytorskiej oraz rozmaitych zjawisk muzyki współczesnej?

Z pewnością. Choć na świecie możemy wyróżnić centra kulturalne, które nadają utworom pewne charakterystyczne cechy.

Na przykład centrum niemieckie skupione wokół kursów kompozytorskich, które odbywają się od kilkudziesięciu lat w Darmstadt, to bardzo modernistyczna szkoła. Zapis muzyczny niestychanie skomplikowany, taki, który wymaga owego zagłębienia się w lekturę tekstu muzycznego.

Tak zwana nowa polska szkoła kompozytorska od tego skomplikowania odeszła. Jest bardziej tonalna i uproszczona. Tutaj na pewno wielką inspiracją dla polskich kompozytorów byli Henryk Mikołaj Górecki czy Wojciech Kilar, a także Krzysztof Penderecki. Pamiętajmy, jak jego twórczość się zmieniała, od modernizmu, awangardy lat 60. do post-

fot. Stanisław Zbigniew Kamiński



Prof. Krzysztof Penderecki – przewodniczący jury

modernistycznych kolejnych symfonii czy „Siedmiu Bram Jerozolimy”, czy w utworach, które nasza orkiestra grała, np. Sinfonietta druga czy trzecia, już bardzo nawiązująca do muzyki przeszłości.

Tego typu wpływy możemy śledzić w zgłoszonych do konkursu utworach. Jednak czasem pojawiają się zaskoczenia, chociażby właśnie Fabio Nieder, który jest związany z rynkiem niemieckim i tam mieszka i tworzy, a którego muzyka jest inna od tego, co pisze się w Darmstadt.

Z pewnością nie był to pełny przekrój twórczości kompozytorskiej na świecie, bo świat jest ogromny, kompozytorów jest naprawdę wielu. Mieliśmy na przykład bardzo dużo zgłoszeń z Chin i Japonii. Może dziwić liczba kompozytorów z krajów azjatyckich, ale jeśli spojrzymy na konkursy wykonawcze i tam zobaczymy, ilu jest muzyków z Azji, widzimy, że centrum kulturalne świata przenosi się na wschód.

Czy łatwo było przekonać profesora Krzysztofa Pendereckiego do objęcia patronatu nad radomskim konkursem?

Profesor Penderecki wyraził zgodę, mimo oporu, że już dawno nie brał udziału w żad-

nym jury konkursowym, bo zazwyczaj miał inne zdanie od pozostałych jurorów. Powiedzieliśmy, że będzie jedynym jurorem. Później bardzo nas namawiał, żeby mu pomagać. Ostatecznie jest głównym sędzią i jego zdanie jest decydujące w ocenie finałowych kompozycji. Z pewnością wielki wpływ na jego de-

cyzję miał fakt, że znał naszą orkiestrę i jej możliwości.

Międzynarodowy konkurs kompozytorski „Arboretum” to przykład skutecznej popularyzacji sztuki wysokiej. Radomski konkurs pokazał, że muzyka współczesna może się podobać. Czy zwrócił Pan uwagę na aktywną postawę publiczności?

Tak. To nawet mnie zaskoczyło, chociaż nie powinno.

Pełnię także funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Muzyki Współczesnej, które organizuje wiele festiwali w całej Polsce. Mamy kontakt z innymi sekcjami międzynarodowych Towarzystw Muzyki Współczesnej i widzę, że na tych festiwalach publiczności nie ubywa, a wręcz przeciwnie.

Oczywiście, tego typu festiwale są domeną wielkich miast, np. Warszawska Jesień gromadząca z roku na rok coraz większą, przy tym młodą publiczność, która nie chodzi do filharmonii na koncerty muzyki przeszłości, ale jest właśnie zainteresowana nowymi dziełami, bo uważa je za swoją muzykę. Oto muzyka, którą tworzą ich koledzy, często niewiele starsi od nich, odczuwają-

cy to co oni, reagujący podobnie na zjawiska w świecie, w społeczeństwie, w kulturze. I tak było zawsze. W przeszłości grano wyłącznie muzykę współczesną, a w tej chwili nas dziwi, że ktoś chce przychodzić na festiwal, konkurs czy koncert, w którym wykonywane są utwory współczesne. Publiczność chce słuchać nie tylko rzeczy, które są znane i lubiane. Chce również współdecydować. Na radomski konkurs bardzo dużo ludzi przyszło dlatego, że mogli wyrazić swoją opinię i przez głosowanie wybrać laureata nagrody publiczności.

Czy łatwo było zjednać do tego przedsięwzięcia mecenasów i sponsorów?

Sponsorów nigdy nie jest łatwo pozyskać, ponieważ pamiętajmy o tym, że w Polsce nie ma zachęt podatkowych czy prawnych do sponsorowania kultury. Ludzie kultury już od lat postulowali, żeby wprowadzić odpis od podatku dochodowego od firm, od CIT-u. Niestety, nie znalazło to uznania żadnej ekipy rządzącej. Co bardzo martwi. Jesteśmy zależni wyłącznie od dobrej woli prezesów firm, którzy często interesują się muzyką bądź dostrzegają związek między marką swojego produktu lub biznesu a marką, jaką jest na przykład Konkurs Kompozytorski Krzysztofa Pendereckiego. Od samego początku mamy ogromne wsparcie ITM Poland (International Tobacco Machinery Poland Sp. z o.o.). Jest to firma, która swoją polską siedzibę ma w Radomiu i dlatego łatwiej do niej dotrzeć. Jest mecenasem już drugiej edycji konkursu i dzięki temu impreza może się odbywać. Mamy zapewnienia, że także w przyszłych edycjach możemy liczyć na pomoc. W gronie sponsorów znalazł się także Fundusz Popierania Twórczości Stowarzyszenia Autorów ZAiKS.

Rosnące zainteresowanie radomskim konkursem kompozytorów na całym świecie

pozwała sądzić, że za niespełna dwa lata nastąpi kolejna odsłona „Arboretum”...

Mam taką nadzieję. Przyjmując zapewnienia mecenasa konkursu i samego profesora Pendereckiego, że chce nadal patronować temu wydarzeniu, już teraz przygotowujemy kolejną edycję. Liczę na podobne albo jeszcze większe zainteresowanie kompozytorów z całego świata. Myślę, że z tym nie będzie problemu, bo konkurs uzyskał markę, już jest znany.

Oczywiście, mamy ogromną konkurencję. Odbywa się wiele konkursów, szczególnie wykonawczych, ale też kompozytorskich, i mamy do czynienia z pewną dewaluacją ich wartości. My mamy atuty: Krzysztof Penderecki, bardzo dobra orkiestra, oraz to, że wykonania są archiwizowane. Przecież wypuszczamy płytę archiwalną z nagraniami każdego koncertu finałowego. To wszystko tworzy markę, pewne wyjątkowe arboretum, tylko zamiast drzew mam na myśli muzyczne kompozycje.

Jako dyrektor naczelny i artystyczny Radomskiej Orkiestry Kameralnej jest Pan z pewnością bardzo zaabsorbowany pracą. Czy znajduje Pan czas na to, by realizować się jako kompozytor?

Z przykrością muszę stwierdzić, że nie. Ciężko mi się w tej chwili nazywać kompozytorem. Profesor Krzysztof Penderecki słusznie zauważył niedawno, że kompozytorem może być wyłącznie ten, kto codziennie pisze. Myślę, że to dotyczy nie tylko kompozytorów, ale w ogóle twórców. Mam wielu znajomych z różnych dziedzin kultury, także pisarzy. Jeden z nich twierdzi, że codziennie musi napisać chociaż jeden akapit, nawet jeśli następnego dnia miałby go skreślić. Jest to ćwiczenie umysłu i dyscyplina twórcza. Krzysztof Penderecki mówi, że tę dyscyplinę zawdzięcza swojemu ojcu, który codziennie rano wychodził do lasu i wykonywał swoją pracę. To

była piąta, szósta rano. Profesor Penderecki także pisze w tej porannej godzinie.

W moim przypadku nie chodzi tylko o brak czasu, ale raczej o brak energii. Moja praca bardziej się skupia na wykonywaniu muzyki i na planowaniu działalności orkiestry. Niestety, muszę przyznać, że bardzo dużo czasu zajmuje biurokracja, która zabija kulturę, zabija sztukę. Wypełniając kolejne tabelki, sprawozdania i ankiety, tracimy z oczu cel nadrzędny: tworzenie.

Krzysztof Majerczyk

Certamen Compositorum Internationale ARBORETUM
Konkurs Kompozytorski
Krzysztofa Pendereckiego

Wyniki I etapu:

Nadesłano 118 partytur, z czego warunki konkursowe spełniło 118 zgłoszonych kompozycji. Do II etapu konkursu jury dopuściło następujące utwory, które zostały wykonane podczas koncertu finałowego (imię i nazwisko kompozytora – tytuł):

Stefano Bonilauri – Mare Interrotto per tredici archi
Giovanni Dario Manzini – A Current Under Sea Picked his Bones in Whispers
Fabio Nieder – 3 unvollendete Portraits für Streichorchester
Satoshi Ohmae – Symphonic canticle for string orchestra
Rita Ueda – ice melting... trickling gently...
Guo Yuan – Three Times – for string orchestra

Jury: Paweł Mykietyn, Paul Patterson,
Maciej Żółtowski
Przewodniczący jury:
Prof. Krzysztof Penderecki

Sprostowanie

Jak zauważyła czytelniczka naszego czasopisma, w poprzednim numerze „Miesięcznika Prowincjonalnego” w artykule poświęconym 13. Radomskiemu Festiwalowi Jazzowemu pojawiła się nieścisłość. Otóż grupa New Bone, której założycielem i liderem jest Tomasz Kudyk, polski trębacz jazzowy i kompozytor, ma proveniencje krakowskie. Nie jest to zatem, jak napisaliśmy, kwintet radomski. Kompozytora, Muzyków i Czytelników – przepraszamy.

Protokół z posiedzenia jury II Międzynarodowego Konkursu Kompozytorskiego Krzysztofa Pendereckiego „Arboretum”

ETAP II

W dniu 30 listopada 2014 r. w sali koncertowej im. Krzysztofa Pendereckiego w Zespole Szkół Muzycznych w Radomiu, po wysłuchaniu koncertu finałowego, na którym wykonano następujące utwory:

Stefano Bonilauri – Mare Interrotto per tredici archi;
Giovanni Dario Manzini – A Current Under Sea Picked his Bones in Whispers;
Fabio Nieder – 3 unvollendete Portraits für Streichorchester;
Satoshi Ohmae – Symphonic canticle for string orchestra;
Rita Ueda – ice melting... trickling gently...;
Guo Yuan – Three Times - for string orchestra

odbyło się posiedzenie jury w składzie:
prof. Krzysztof Penderecki – przewodniczący,
Paweł Mykietyn, Paul Patterson, Maciej Żółtowski, Agnieszka Stanicka – sekretarz.

Jury zdecydowało, co następuje:

przyznać I nagrodę: Rita Ueda – ice melting... trickling gently...;
przyznać II nagrodę: Giovanni Dario Manzini – A Current Under Sea Picked his Bones in Whispers,
przyznać dwie równorzędne III nagrody:
Stefano Bonilauri – Mare Interrotto per tredici archi,
Fabio Nieder – 3 unvollendete Portraits für Streichorchester.

W tajnym głosowaniu publiczność koncertu zdecydowała, że laureatem nagrody publiczności został Satoshi Ohmae za utwór: Symphonic Canticle.

Redakcja

Gombrowicz z przodu i z tyłu

Tomasz Tyczyński

Pod koniec października we Wsoli i w Radomiu pod patronatem Rity Gombrowicz odbyła się Międzynarodowa Konferencja Naukowa „Gombrowicz z przodu i z tyłu”. Organizatorami wydarzenia, w którym wzięło udział blisko 60 uczestników z dziewięciu krajów, byli Muzeum Witolda Gombrowicza we Wsoli (oddział warszawskiego Muzeum Literatury) oraz radomski Uniwersytet Technologiczno-Humanistyczny. Konferencję przygotowano we współpracy z radomskim Teatrem Powszechnym, organizatorem Międzynarodowego Festiwalu Gombrowiczowskiego.

Od ostatniej dużej konferencji gombrowiczowskiej zorganizowanej w Polsce (przez Uniwersytet Jagielloński) minęło właśnie 10 lat, więc spotkanie we Wsoli i w Radomiu było dobrą okazją do ponownego naukowego oglądu twórczości Witolda Gombrowicza oraz do międzypokoleniowej rozmowy o autorze *Kosmosu*.

Konferencję otworzył Panel Gombrowiczowski, cykliczne wydarzenie organizowane przez MWG, zatytułowany: „Jaki Gombrowicz po *Kronosie*”? Dyskusję moderował prof. Jerzy Jarzębski (UJ), a uczestniczyli w niej Rita Gombrowicz, Anders Bodegård oraz profesorowie Aleksander Fiut (UJ), Andrzej S. Kowalczyk (UW) i Józef Olejniczak (UŚ). Natomiast ostatniego dnia konferencji o książce Łukasza Tischnera (UJ) *Gombrowicz a milczenie o Bogu* dyskutował z autorem Maciej Nowak (KUL). Konferencja trwała trzy dni, toczyła się w dwóch sekcjach, przedstawiono blisko 50 referatów.

Dorobek konferencji wydany zostanie w formie książkowej, zaś otwierający spotkanie gombrowiczologów panel obejrzeć można na stronie MWG. Każdy zainteresowany będzie więc mógł wyrobić sobie opinię o tym, na ile interesująca była wsolska i radomska rozmowa o Gombrowiczu, w której uczestniczyli zarówno doświadczeni, jak i młodzi badacze.

Tak na marginesie

Proszę, nawet nie wiedziałem, że mówię Gombrowiczem. Żeby to sobie uświadomić, trzeba było poważnej międzynarodowej konferencji naukowej we Wsoli, a także jej kularów i marginesów, na których odbyło się kilka istotnych rozmów.

Aż szkoda, że to już za nami: trzy dni jak ze snu, trochę schulzowskiego, a trochę gombrowiczowskiego – *śniliście mi się wszyscy we Wsoli...* Pascal tym razem się nie pojawił, byli za to inni, też mądrzy, rozumiejący i realni. Dwie dyskusje oraz referaty, mnóstwo refe-

ratów, mądre i mniej mądre, tych na szczęście mało. Niewiele też przemądrzałych, takich, co to hermetycznym żargonem i metodologiczną żarliwością usiłują przygwoździć Gombrowicza i – po wyrwaniu tajemnicy – upchnąć go w dębowej szufladzie z etykietą, jak w starej aptece; lek na ból, pustkę i własne lęki.

A Gombrowicz, jak to Gombrowicz, choć obecny we wszystkich interpretacjach, to jednak kluczący między nimi, niedający się przytapać, przyszpilić. Wolny, może dzie-



Muzeum Witolda Gombrowicza we Wsoli – przerwa w czasie konferencji

ki tym bardzo mądrym, którzy nie boją się przyznać, że czegoś nie rozumieją, że wiedzą, choć nie do końca pojmują, bo sens nie w pojęciach i definicjach, ale w dialogu. Mieliśmy więc w sumie Gombrowicza migotliwie żywego, nieznanego, mówiącego poprzez teksty i teksty o tekstach, Ja do Ty.

Nasłuchany, zapisywać zacząłem marginesy, ale przecież mówimy o Gombrowiczu, więc i na marginesie będąc, znalazłem się w końcu w centrum – w centrum biografii autora *Kronosu*, jego ostatnich lat i wciąż fascynującego mnie jego związku z Ritą Labrosse. Z którą to umówiliśmy się, że do muzealnego archiwum nagramy rozmowę – tym razem głównie o niej, o jej biografii.

Oczywiście, Witold nie mógł na to pozwolić, więc co i rusz wyskakiwał spomiędzy pytań i odpowiedzi, zazdrośnik nieśmiertelny, bo tak po prawdzie trudno jest mówić o pani

Gombrowicz, nie wspominając jej sławnego męża. Ale też zapominamy często, że opowiadając o Gombrowiczu, poddajemy się nieuchronnie nie tylko jego autokreacji, ale i temu, co z jego twórczością przez dziesięciolecia robiła jego żona.

Z Ritą Gombrowicz rozmawialiśmy w sumie o drobiazgach, szczegółach z jej i ich codzienności, wspólnego i osobnego życia. Takie czytanie życiopisania z relacji świadka najbliższego w czasie summy, w dni przedostatnie i ostatnie. Krążenie po marginesach, na których jednak znaleźć można przyczynki do odpowiedzi na pytania istotne, stawiane w naukowym dyskursie. Jak choćby o podmiotowość natury u Gombrowicza.

Bo między innymi pytałem Ritę Gombrowicz o los ich domowych zwierząt, Psiny i Autostopa, które pojawiają się w biografii Gombrowicza, ale nie wiadomo, jak z niej znikają. Opo-

fot. archiwum muzeum

wiedziała więc Rita, jak zdecydował Gombrowicz, iż nie można młodego jeszcze kociaka więzić w mieszkaniu, wynieśli go zatem do ogrodu i ledwo postawili na ścieżce, a ten pomknął przed siebie i zniknął nieoczekiwanie, tak samo, jak pojawił się na ich drodze. Tęsknili, gdy nie wrócił, oboje i Psina, którą Autostop owinął sobie tak koło ogona, że służyła mu nawet za posłanie do snu. Kot wybrał wolność, bez sentymentów, a Rita spuentowała tę historię, mówiąc, że to właśnie wolność była dla Gombrowicza zawsze najważniejsza, bez względu na cenę. Zaś zwierzęta traktował jak ludzi, po prostu chciał, by były szczęśliwe.

Mnie też tak traktował, dodała pani Gombrowicz, i jej opowieść znów zaczęła cieniować ironia. Rozmawialiśmy potem o ich związku, nawiązując do spektaklu Wojtyłki, pokazanego na Festiwalu Gombrowiczowskim przez Teatr Narodowy, w którym Kamila Baar przemyka przez scenę z gracją i wyrzowaną na twarzy depresją, jak ptak w klatce, szczebiocząc mimo cierpienia. W jednej ze scen klęka ona przed Gombrowiczem, oświadczając, że jest jego niewolnicą. Zapytałem więc Ritę, czy takie wyznanie było możliwe w ich relacjach, nawet w formie prowokacji albo żartu? I o jeszcze parę szczegółów ze spektaklu, wyczytanych lub wymyślonych przez autora. Czasem dobrze jest nie znać polskiego – brzmiała odpowiedź.

Ale o tej ich relacji rozmawialiśmy również poważnie. W listach Gombrowicza do rodziny, głównie do Janusza i Stanisławy, widać, jak zmienia się pozycja Rity, chyba nie tylko na użytek świata zewnętrznego. Najpierw jest „biedną dziewczyniną”, umęczoną opieką nad pisarzem, później pojawia się już jako część my – „my z Ritą”, a pod koniec jest tą, o którą Gombrowicz zabiega. Nie zapominając oczywiście swojemu lękowi przed utratą nadać ironiczną formę – jak wtedy, gdy pisze, że kupi swojej partnerce samochód, bo zimy w Vence są nudne i ponure, więc boi się, że

Rita odejdzie. (A potem, gdy Rita prowadziła samochód nie tak, jak oczekiwał, groził jej, że sam zrobi prawo jazdy. Śmieszne? Tak sobie: to samo mówię czasem mojej żonie.).

Według pani Gombrowicz ta zapisana w korespondencji zmiana ról łączy się z jej pobytem w Polsce, po którym została zaakceptowana przez najbliższych Witolda. Z jej opowieści i z listów do rodziny wyłania się przy tym inna twarz Gombrowicza: inaczej niż w korespondencji z wydawcami czy młodymi przyjaciółmi jest on łagodny, troskliwy, momentami nawet ciepły i serdeczny. Oczywiście bez przesady – gdy Jerzy zażąda od niego dolarów na uporządkowanie rodzinnych grobów, odpisze, że dla niego mogły te mogą nawet zarosnąć trawą, on musi i woli pomagać żywym.

Oczywiście, zapytałem też Ritę, czy jej rodzina zaakceptowała związek z dużo starszym i bardzo oryginalnym mężczyzną. – Na szczęście byli daleko, więc wiedzieli tyle, ile im napisałam – odpowiedziała żartem. – A poza tym byli zadowoleni, że zadają się z polskim hrabią.

I tylko raz poczułem się rozczarowany podczas tej długiej rozmowy: gdy okazało się, że pani Gombrowicz nie pamięta, jak jej mąż skomentował pierwsze lądowanie człowieka na Księżycu. Być może nie powiedział nic, był już – na trzy dni przed śmiercią – bardzo słaby i żona namawiała go, by zasnął, zamiast do późnej nocy oglądać telewizyjną transmisję. Postawił na swoim, uparł się jak niesforny chłopiec.

O tym też rozmawialiśmy: że Witold był dla Rity nie tylko kochankiem i mężem, ale także przyjacielem, bratem, łagodniejszą wersją ojca. A ona dla niego? W jakimś sensie matką – i wtedy, gdy opiekowała się schorowanym pisarzem, i wtedy, gdy przez dziesięciolecie odkrywała jego twórczość dla siebie, a także pilnowała jej literackich losów, tak, jak dba się o los własnego dziecka, dyskre-

nie polecając je światu i pilnując, by świat go nie oszukał.

Tak to właśnie rozmawialiśmy, uprawiając nieuczoną hermeneutykę na marginesie poważnej konferencji, o sprawach mniej poważnych, drobiazgach i anegdotach, które jednak rozjaśnić mogą choć trochę te mniej oświetlone fragmenty biografii. Każdej biografii, także tych pomniejszych.

Wkrótce pewnie rozmowę spiszę i opublikujemy. Na razie chwila oddechu, choć nie mogę uwolnić się od myślenia o tym dziwnym związku, poprzez który Gombrowicz uciekł nieżyciu, oszukał śmierć przynajmniej na kilkadziesiąt lat „życia po życiu”. Przypominałem więc sobie fragmenty opowieści Rity Gombrowicz, nawet snując krótki urlop po słonecznym rynku Miasta Literatury, a potem po okolicznych uliczkach, gdzie trzeba było uciekać przed mroźnym cieniem z jednej strony na drugą.

Dzień później wyjeżdżałem z Krakowa w mgłę tak gęstej, że zasłoniła litery ustawione na rynku, ukrywając zapisane nimi znaczenia. Zasłoniła nawet Wisłę, wpływającą we mgłę jak rzeka zapomnienia i pomyślałem, jak wielkie to szczęście odebrać niepamięci te wszystkie drobiazgi, szczegóły, anegdoty, na które szkoda uczonych głów, a które jednak dopowiadają jakoś odchodzącego Witolda Gombrowicza i jego życiopisanie, świadome ceny nie do stargowania.

Mgła gęstniała i schodziła coraz niżej, a u końca powrotnej podróży wymieszała się z ciemnością, rozcieńczając jej czern jak odrobina ciepłego mleka kawę.

Resztę można oddać kotu, niech chłepcze.

Tomasz Tyczyński

Czas mija, trwają wspomnienia XI Międzynarodowy Festiwal Gombrowiczowski w Radomiu

Krystyna Kasińska

Zwielu radomskich imprez kulturalnych, które odbyły się w 2014 r., kolejny, już 11. Festiwal Gombrowiczowski, moim zdaniem jeden z lepszych, zasługuje na dobrą pamięć. Tym bardziej że wielość i różnorodność spotkań przypominała barwny kolaż. Artystycznym przedtaktem do festiwalu w Radomiu stał się projekt „Gombrowicz rusza (w) świat”, zrealizowany latem w Muzeum Witolda Gombrowicza we Wsoli z okazji 110. rocznicy urodzin pisarza oraz 75. rocznicy jego wyjazdu z Polski. To były dwa spotkania teatralne (Jarosław Rabenda – Gombrowicz we „Wspomnieniach polskich”, przy-

gotowanych przez Mikołaja Grabowskiego na inaugurację poprzedniego festiwalu, przypominał trzy fragmenty spektaklu, a Mariusz Bonaszewski – Gombrowicz w „Błądzeniu”, wyreżyserowanym w Teatrze Narodowym w Warszawie przez Jerzego Jarockiego – monolog pisarza) połączone z recitalami Anny Dereszowskiej oraz Dominiki Barabas.

W zabytkowym pałacyku (minęło 100 lat od budowy dworu starszego brata pisarza Jerzego i jego żony Aleksandry z Pruszków) odbyła się także dwudniowa, międzynarodowa konferencja naukowa „Gombrowicz z przodu i z tyłu”, towarzysząca spotka-



Ł. Węgrzynowski, W. Mancewicz, J. Rabenda w „Przenikaniu”, reż. W. Śmigasiewicz, którym zainaugurowano XI MFG

nium teatralnym (z udziałem 60 uczestników z dziewięciu krajów). Wieść niesie, że dyskusje bywały burzliwe. A choć nie udało mi się w nich uczestniczyć, dałam posłuch szeptanej opinii po wysłuchaniu ostatniej rozmowy. Z zainteresowaniem obserwowałam, jak spokojnie rozpoczynająca się wymiana opinii między dr. Łukaszem Tischnerem (UJ), autorem książki *Gombrowicza milczenie o Bogu*, Maciejem Nowakiem (KUL) oraz uczestnikami sesji, w miarę upływu czasu i argumentów stawała się coraz żywsza. Sądzę, przeglądając jedynie tematy innych wystąpień, że publikacja – pokłosie spotkania – będzie co najmniej interesująca. Warto dodać, że w zespole redagującym wydawnictwo znalazła się dr Anna Spółna z radomskiego uniwersytetu (wieloletnia recenzentka literatury współczesnej w „MP”). Uczelnia – obok muzeum we Wsoli i teatru – współorganizowała sesję. I sesję, i festiwal objęła patrona-

tem Rita Gombrowicz, która ponownie bywa w Radomiu i która, mimo licznych obowiązków, zechciała uczestniczyć również w uroczystości nadania imienia Witolda Gombrowicza Bibliotece Miejskiej w Ożarowie.

Części teatralnej towarzyszyły również wernisaże. W foyer przy Dużej Scenie swoje prace pod hasłem „Pars pro toto. Gombrowicz Impressions” pokazał prof. Andrzej Markiewicz (radomski uniwersytet). Na parterze znalazły się plakaty do sztuk Gombrowicza z kolekcji Galerii Plakatów w Krakowie, a w holu przed Sceną Kameralną można było obejrzeć „Sztukę dialogu – wokół autoportretu”, obrazy artystów z Magdeburga.

Spotkaniom scenicznym, od kilku lat, nieodłącznie kibicuje „Niecodzienna gazeta codzienna” – niezależny tytuł wydawany przez młodzież, którą opiekuje się polonista Jarosław Basaj. Barwna gazetka, ilustrowana aktualnymi zdjęciami (tworzona przez Darię,

Claudię, Olę, Dorotę, Ewę i Bartka), szybko zdobyła grono stałych czytelników. Trudno się temu dziwić. „Organ”, przygotowywany po nocach, pokazywał festiwalowy świat od sceny i od kulis w tekstach pisanych ze swadą, poprawną polszczyzną, w różnych gatunkach – od sondy, przez recenzje (czasem zaskakujące) po bardzo interesujące wywiady. Inicjatywie należy przyklasnąć, młodzieży pogratulować wytrwałości oraz talentu.

Ubiegłoroczny Festiwal Gombrowiczowski okazał się nietypowy – z 15 prezentacji tekstów pisarza lub o nim aż pięć spektakli miało premiery w 2014 r. Moim zdaniem dawno już nie było spotkań teatralnych na tak wyrównanym poziomie. No, może z wyjątkiem „Niepewnego poruszenia miłości”, przywiezionego przez grupę młodych osób z Argentyny, Francji, Chin, Hiszpanii i Serbii. Nawet przełknęłabym, że performance nijak się miał do formuły spotkań, ale był to po prostu pokaz nieprzygotowany. Przy absolutnym zagubieniu tłumaczki wiele akcji (zaczepki adresowane do młodych mężczyzn: tańce, siadanie im na kolanach, jakieś próby rozmów) wzbudzały u większości widzów (wyjąwszy młodzież) co najwyżej pewne zniecierpliwienie. Młodzież przyjęła z zadowoleniem także „Bakakaj – niedojrzałe oratorium”, monodram wyreżyserowany i zagrany przez Chloe Begou z Lyonu, której towarzyszyli młodzi muzycy. Spektakl, za twórczą próbę wejścia w świat wyobraźni Witolda Gombrowicza, wyróżniło jury. Szkoda tylko, że wyświetlane na ekranie tłumaczenia nie nadążały za tym, co mówiła aktorka. Tak działa się przy każdej elektronicznej prezentacji polskiej wersji tekstu, więc – moim zdaniem – lepiej sprawdza się ich symultaniczne czytanie przez tłumaczy.

Rozczarowały mnie „Historia” przywieziona przez grupę teatralną z Buenos Aires (nie tylko dlatego, że epatowanie golizną nie zawsze dobrze służy prezentacji przemysłu

Gombrowicza) oraz chwalona przez recenzentów łódzka „Iwona, księżniczka Burgunda” w reżyserii Agaty Dudy-Gracz. Trudno mi było zaakceptować nie tylko niezyczliwy i brutalny (choć bliski dzisiejszemu) świat, do którego trafia Iwona. Natomiast podobała mi się poetycka scenografia reżyserki oraz piosenki Mai Kleszcz (początkowo wykonane z kiepską dykcją) do muzyki jej i Wojciecha Krzaka; oprawę wokально-muzyczną nagrodziło jury. Nagrody aktorskie otrzymali Włodzimierz Mancewicz za rolę w „Przenikaniu” oraz znany już w Radomiu Vincent Aubert za rolę Gombrowicza w spektaklu „Przekątna Szalonego. Spotkanie z Filidorem” w reżyserii Ewy Kraski.

Naprawdę zachwyciło mnie niewiele. Przede wszystkim „Dowód na istnienie drugiego”, przywieziony przez warszawski Teatr Narodowy, spektakl Macieja Wojtyłki przypominający spotkanie Gombrowicza z Mrożkiem. Przedstawienie oparte na dobrym aktorstwie (z rewelacyjnym Cezarym Kosińskim w roli Mrożka i bardzo dobrą Kamiłą Baar w roli Rity) oglądało się z prawdziwą przyjemnością i to mimo wyraźnie słabszego dnia Jana Englerta. Wzruszona Rita Gombrowicz dziękowała aktorom za przypomnienie jej o pięknych latach młodości. Z nie mniejszą przyjemnością obejrzałam także „Ślub” wyreżyserowany przez Waldemara Zawodzieńskiego, choć to najtrudniejsza ze sztuk Gombrowicza. Dyplom studentów łódzkiej Filmówki był fascynujący, świetnie zagrany i choć pokazano go poza konkursem, słusznie otrzymał nagrodę, a widzowie dziękowali aktorom długą owacją na stojąco. „Kolibra lot ostatni”, sceniczna adaptacja powieści Pawła Huelle, którą przywiózł Teatr Miejski im. W. Gombrowicza w Gdyni, może mnie nie zachwyciła, ale obejrzałam ją z przyjemnością. A to za sprawą Andrzeja Redosza, przez wiele lat aktora naszej sceny, który w roli Nadkomisarza okazał się w gronie wykonawców najlepszych.

W tej edycji festiwalu zwyciężyły dwie inscenizacje „Operetki”. Nagrodę zespołową zgarbił Teatr IMKA, w którym spektakl przygotował Mikołaj Grabowski. Natomiast Grand Prix (rzeźba dłuta Krzysztofa Nitcha) powędrowała do Teatru Narodowego z Budapesztu, gdzie inscenizację tekstu opracował i wyreżyserował Andrzej Bubień. Jego sceniczna wizja z pewnością usatysfakcjonowałaby Gombrowicza. Parodii nudnawej operetki towarzyszył przepych, jakiego nie pamiętam na radomskiej scenie: piękne kostiumy, doskonała muzyka grana na żywo przez zespół, kilkudziesięciu dobrze grających aktorów. Formułę teatralnej staroci znakomicie przełamał przytłaczający obraz przewrotu pałacowego, prowadzącego do zagłady niezbędnej w tworzeniu nowego świata. I tym razem przedstawienie zakończyła długo nie milknąca standing ovation.

Podczas premiery „Dybuka...” usłyszałam za plecami kobiety monolog: „Nie lubię Gombrowicza, bo dotkliwie dłubie szydełkiem w naszych duszach, wyciągając narodowe wady. Wolę Mrożka, bo choć robi to samo, przynajmniej można się pośmiać...”. Uważam, że właśnie dlatego Gombrowicz z sukcesem wędruje po świecie, by wciąż na nowo poruszać widzów.

W te poruszenia, od początku, świetnie wpisuje się radomska scena. Tradycyjnie każdy festiwal otwiera radomska premiera. Tym razem Waldemar Śmigasiewicz przygotował „Przenikanie” (kilka lat temu widzieliśmy autorską inscenizację „Kosmosu”). Teraz Śmigasiewicz oparł scenariusz na opowiadaniu B. Schulza „Emeryt” oraz fragmentach Gombrowiczowskiej „Ferdynurke”. Pamiętam, jak Wojciech Kępczyński, pomysłodawca festiwalu, marzył, że jeśli kiedyś zabraknie nowych inscenizacji Gombrowicza, to jego twórczość da się bez problemu połączyć z tekstami Schulza i Mrożka.

Precyzyjna realizacja Śmigasiewicza pokazała, że to trafiony pomysł. Gombrowicz od

młodości uciekał, Schulz chciał w wieku dojrzłym zgłębić motywacje dziecka. Twórcy doszli w końcu do wniosku, że i młodości nie zatrzymasz, i starości nie umkniesz. Zatem w spektaklu Śmigasiewicza postaci Emeryta i Józia przenikają się, uzupełniają, czyli dopełniają. Jury nagrodziło Włodzimierza Mancewicza za rolę czasem smętnego, czasem zabawnego starszego pana. Warto podkreślić, że większość tekstu była mówiona z off-u, więc od warsztatowych umiejętności aktora zależało trafne dopełnienie tekstu ruchem, gestem, mimiką. Na nagrodę za debiut sceniczny zasłużył zdaniem jurorów również kilkunastoletni Andrzej Surowiec (jeden z trzech chłopców). Moim zdaniem na uwagę zasługuje też rola Jarosława Rabendy (profesor Pimko) oraz wszystkie sceny zbiorowe z „Ferdynurke”. Tradycyjny pojedynek na miny, zagrany tym razem w konwencji teatru cieni, okazał się pięknym epizodem. Młodzież aktorska również nie dała plamy, choć tremę nie każdy potrafił utrzymać w ryzach. Nic dziwnego, że publiczność podbudowana wrażeniami poderwała się do stojącej owacji. I była to pierwsza i jedna z trzech takich owacji podczas XI Międzynarodowego Festiwalu Gombrowiczowskiego. Możemy tylko odczuwać satysfakcję z kolejnej udanej inauguracji teatralnych spotkań spod znaku twórczości Witolda Gombrowicza.

Krystyna Kasińska

Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego w Radomiu.

XI Międzynarodowy Festiwal Gombrowiczowski w Radomiu, 18–25 października 2014 r.

„Przenikanie” na podstawie „Ferdynurke” W. Gombrowicza i „Emeryta” B. Schulza. Scenariusz i reżyseria: Waldemar Śmigasiewicz. Scenografia: Maciej Preyer. Muzyka: Mateusz Śmigasiewicz. Premiera na inaugurację Międzynarodowego Festiwalu Gombrowiczowskiego na Scenie Kameralnej 18 października 2014 r.



Głazy i Tadeusz Kościuszko

Stanisław Zbigniew Kamiński

fot. Stanisław Zbigniew Kamiński

W różnych miejscach przestrzeni publicznej Radomia stoją głazy narzutowe, do których przytwierdzone są tablice upamiętniające osoby i zdarzenia. Ten rozpowszechniony typ niewielkich pomników – napis umocowany na ciężkim kamieniu – wyraża potrzebę zapamiętania kogoś lub czegoś ważnego, potrzebę, która z różnych powodów nie szuka wyrazu plastycznego, zarówno być może z braku świadomości formy, jak i z braku odpowiednich środków finansowych. Ich zgromadzenie zajęłoby inicjatorom przedsięwzięcia zbyt wiele czasu i przesunęło realizację pomysłu w odległą, niepewną przyszłość. Nie chcę przez to powiedzieć, że głazy nie mogą stać się pomnikami; owszem, są nimi już same w sobie, jak choćby ten stojący majestatycznie przed Muzeum Ziemi w Warszawie. Kamienie wykorzystywał ze świetnym wyczuciem i znakomitymi rezultatami Maciej Szańkowski w swoich monumentalnych realizacjach rzeźbiarskich. Mam na myśli pomnik Ofiar Terroru Komuni-

stycznego z lat 1944–1956 na warszawskim Służewie czy pomnik poświęcony Mieszkańcom Ziemi Sandomierskiej, Ofiarom II wojny światowej, na skwerze pod katedrą w Sandomierzu. Jednak w przypadku radomskich głazów trudno omawiać ich formę plastyczną, pozostaje zadanie inwentaryzatora – wskazanie lokalizacji, zamieszczenie treści tablic.

Na południowym skraju Starego Ogrodu, przy placu czy rondzie księdza Romana Kotlarza znajduje się kamień z brązową płaskorzeźbą poświęcony temu księdzu: „[...] Bożemu Kapłanowi / który ukochał Ojczyznę / pracował dla niej / i umarł za nią / Radomianie”. Obok napisu jest krzyż (ktoś odłamał kawałek ramienia) i portret księdza, nie ma niestety podanej daty odsłonięcia obiektu, a było to w 1996 r.

Na wprost dworca autobusowego, obok ronda im. Stanisława Mikołajczyka, stoi kamień z poświęconą mu tablicą „STANISŁAW MIKOŁAJCZYK / PRZYWÓDCA CHŁOPÓW POLSKICH / WYBITNY MĄŻ STANU / PREMIER RZĄDU RP,

PREZES / POLSKIEGO STRONNICTWA LUDOWEGO [...] W ROCZNICĘ POBYTU W RADOMIU / PSL ZIEMI RADOMSKIEJ / 1997”.

Na skwerze przed budynkiem Lasów Państwowych, zawłaszczonym za PRL-u przez PZPR na siedzibę komitetu wojewódzkiego partii, usytuowano potężny kamień z tablicą „DLA UCZCZENIA PAMIĘCI POLAKÓW, KTÓRZY / WALCZĄC Z KOMUNIZMEM O GODNOŚĆ / NARODU I NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI, ZŁOŻYLI / SWE ŻYCIE I CIERPIENIA NA OŁTARZU OJCZYZNY [...] POMNIK TEN WZNIEŚLI LEŚNICY W DNIU JUBILEUSZU / 120 LAT DYREKCJI LASÓW PAŃSTWOWYCH / W RADOMIU / RADOM 16 IX 2000 ROK”.

Dodam tylko, że wszystkie trzy obiekty mogły zaistnieć i „przemówić” publicznie dopiero po upadku ustroju socjalistycznego w 1989 r.

Czwarta tablica, ulokowana na wolno stojącym czy raczej leżącym kamieniu, która tym razem najbardziej mnie interesuje, ma zwięzłą treść: „TADEUSZOWI / KOŚCIUSZCE / NA PAMIĄTKĘ / OBCHODU / PRZYSIĘGI / 24 MARCA 1794 R. / RADOM 24 MARCA / 1916 R.”. Kamień znajduje się przy wejściu do parku od strony katedry i co jakiś czas wszyscy niemal przechodzimy koło niego. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że nie przyciąga wzroku i nie wzbudza uwagi. Zresztą, wymienione tutaj obiekty nie mają artystycznych ambicji, choć płaskorzeźba księdza Kotlarza nie jest jedynie tablicą informacyjną, jej autorowi, radomskiemu rzeźbiarzowi Markowi Szczepanikowi, zależało także na rozwiązaniu plastycznym.

Wiemy, kim był Tadeusz Kościuszko (1746–1817). Uczono nas o nim w szkole, w odróżnieniu od Piłsudskiego, który nie istniał w PRL-u. Kościuszko walczył jednak z zaborczą Rosją carską, a nie z sowiecką postępową siłą ludzkości. W wymienionym na radomskiej tablicy dniu złożył na rynku krakowskim uroczystą przysięgę: „Ja, Tadeusz Kościuszko, przysięgam w obliczu Boga całemu Narodowi Polskiemu, iż powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie jej dla obrony całości granic, odzyskania samowładności Narodu i ugrun-



Kamień z płytą poświęcony Tadeuszowi Kościuszce w radomskim parku, naprzeciwko katedry

fot. Stanisław Zbigniew Kamiński

towania powszechnej wolności używać będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna męka Syna Jęgo”. Objął wówczas przywództwo insurekcji jako Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej.

Zastanawiać może fakt, że jeszcze przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości możliwe stało się odsłonięcie w miejscu publicznym tablicy o takiej treści. Po klęsce insurekcji kościuszkowskiej i trzecim rozbiore Radom znalazł się w zaborze austriackim, ale po przegranej Napoleona pod Moskwą został zajęty przez wojska rosyjskie. Dopiero podczas I wojny światowej, w lipcu 1915 r., znowu zajęły Radom wojska austriackie, zmiana zaborcy umożliwiła m.in. werbowanie ochotników z tego terenu do Legionów Polskich. Austriacy powołali w Radomiu samorząd miejski, który, w 122. rocznicę przysięgi Tadeusza Kościuszki, zorganizował patriotyczną uroczystość z odsłonięciem tablicy upamiętniającej tamto historyczne wydarzenie, zaś park otrzymał imię wodza insurekcji.

Kilka lat temu, kiedy już zajmowałem się opisywaniem radomskich pomników w miesięczniku i fotografowałem akurat tablicę na skraju parku, spotkałem przechodzącego tamtędy Wojciecha Twardowskiego, archeologa, regionalistę i satyryka, byłego wieloletniego pracownika muzeum w Radomiu. Była wiosna czy może lato, środek pogodnego dnia z białymi obłokami, gładka powierzchnia tablicy odbijała wieżę katedralną, a ja próbowałem zrobić zdjęcie, na którym byłoby to widoczne. Wojciech zatrzymał się i zaczął opowiadać mi historię tablicy. Jego dar, umiejętność mówienia ze swadą i poczuciem humoru sprawiły, że choć nie zapamiętałem szczegółów opowiadania, pozostało wrażenie barwnej, ciekawej historii. Pomyślałem, że muszę koniecznie utrwalić słowa Wojtka, ale odłożyłem to na później; wtedy miałem przed sobą do napisania teksty o innych, bardziej reprezentacyjnych radomskich pomnikach.

Niedawno zatelefonowałem do Wojtka Twardowskiego, tym razem Wojtek nie miał humoru, był przeziębiony i musieliśmy odłożyć spotkanie na później. Kiedy wreszcie spotkaliśmy się w ponury, styczniowy dzień, uświadomiłem sobie, jak wiele zależy od sytuacji, w której słucha się rozmówcy. Odniosłem wrażenie, że Wojtek ma teraz niewiele do powiedzenia, choć zapewne poprzednio nie powiedział więcej, ale wtedy okoliczności i atmosfera spotkania ubarwiły to, co mówił. Pamiętał jednak ważny szczegół: w 1916 r. tablica została umieszczona na jednym z dwóch słupów bramy prowadzącej do parku. Po wybuchu II wojny ktoś zjął tablicę, żeby ocalić ją od zniszczenia przez Niemców, a po wojnie przekazał muzeum. Dopiero jednak w 1973 r. tablica powróciła do parku, choć już nie na swoje miejsce. W latach 60. rozebrano bowiem parkowe ogrodzenie, plotka głosiła, że zostało wykorzystane do ogrodzenia willi ówczesnego premiera PRL Józefa Cyrankiewicza. Nie istniała już brama do parku, który stał się w ten sposób dostępny dla całego społeczeństwa socjalistycznego państwa o każdej porze, symbolicznie i realnie. Tablicę umocowano więc na kamieniu przy wejściu do parku, ale niedługo potem została ukradziona i do dziś nikt nie trafił na jej ślad. 20 lat później, w 1993 r., jej kopię zrobił kamieniarz Szczepan Kowalski, co przypomina napis u dołu płyty: „REPLIKĘ wyk. Sz. Kowalski 11 XI 1993”. Dlaczego więc nowa płyta jest pęknięta?

Wojciech Twardowski przyniósł na spotkanie spis dokumentów i materiałów należących do tzw. kolekcji majora Michała Tadeusza Osińskiego, złożonej po jego śmierci w radomskim archiwum (o postaci słynnego radomianina pisałem w „MP” nr 6/117, listopad/grudzień 2009). Wojtek znał dobrze majora Osińskiego, współpracował z nim; w owym spisie figuruje pozycja „Pismo i foto dot. tablicy w parku Kościuszki (jedno pismo

+ jedno foto)” pod numerem 152–42. Obaj liczyliśmy, że wizyta w archiwum wyjaśni wątpliwości związane z historią tablicy, ale numeracja okazała się zmieniona, nieaktualna i nie natrafiłem na ślad dokumentu i zdjęcia z tamtego spisu. Można jednak sądzić, iż major Osiński miał istotny udział w powrocie tablicy do parku w 1973 r., a może nawet przyczynił się do jej powstania w 1916 r.?

Pamięć o wielkim Polaku daje znać o sobie w Radomiu jeszcze w dwóch innych miejscach w centrum miasta. O tablicy, cytującej frag-

ment tzw. Uniwersału Połanieckiego, pisałem niedawno w miesięczniku („MP” nr 4/145, lipiec/sierpień 2014). Gdy w Google wpisać hasło „pomnik Kościuszki w Radomiu”, pojawia się informacja o tym właśnie obiekcie, o tablicy w parku nie ma ani słowa. [Poszukując wiadomości o niej w internecie, czytałem teksty dotyczące radomskiego parku i znalazłem w dwóch miejscach błędną informację o autorstwie rzeźby „Chopin”. Na stronie www.polskaniezwykla.pl podano: „popiersie Fryderyka Chopina dłuta Władysława Jani”; na stronie www.radom.pl, pod hasłem „Dokumentacja konserwatorska dla parku im. Tadeusza Kościuszki w Radomiu” (grudzień 2005) w spisie obiektów powstałych w II poł. XX w. figuruje „popiersie Fryderyka Chopina dłuta Władysława Jani” (str. 7), które później (str. 9) autor dokumentacji Adam Zawadzki nazywa już pomnikiem Fryderyka Chopina i sugeruje, że należy go przenieść/usunąć jako „obcy element [...] jego forma nie nawiązuje do epoki, w jakiej powstał park”. Przypominam, że autorem rzeźby „Chopin” jest Ryszard Kozłowski, nie jest to jednak popiersie ani pomnik genialnego kompozytora].

Ale mamy w Radomiu popiersie Tadeusza Kościuszki na początku ulicy noszącej jego imię, przed Zespołem

monumentalnym z gatunku zabawnych (do tego figura jakby „po kolana we wodzie”) stał przez lata na rynku w Ujeździe (niedaleko Tomaszowa Mazowieckiego) i ilekroć tamtędy przejeżdżałem – szosa biegnie skrajem placu – jego widok rozśmieszał mnie zawsze. Za którymś razem zabrakło jednak Kościuszki na swoim miejscu i zrobiło mi się smutno. Szukając w internecie informacji o jego losach, dowiedziałem się, że rozbawienie, jakie budził wśród podróżnych, a pewnie również i mieszkańców miasteczka, spowodowało, że groteskowa rzeźba została sprzedana na jakiś charytatywny cel. Dowiedziałem się również, że miejsce humorystycznego przedstawienia zajęł już pomnik poważniejszy w wyrazie, czwarty ponoć wizerunek Kościuszki w Ujeździe. Pierwszy stał tu już przed wojną, drugi, autorstwa ludowego rzeźbiarza, stanął w latach 50., ten był trzecim z kolei upamiętnieniem bohatera narodowego. Jadąc w ubiegłym roku z Andrzejem Brzegowym z Łodzi (gdzie również stoi monumentalny pomnik Kościuszki w centrum miasta), zobaczyłem go na prywatnej posesji pod Ujazdowem, zatrzymaliśmy się i zrobiłem zdjęcia. Całkiem niedawno jechaliśmy, także z Andrzejem i Agatą Morgan do Częstochowy, aby przygotować ekspozycję *Nomen Woman* w tamtejszej Miejskiej Galerii Sztuki, i w miasteczku Kamieńsk spostrzegłem kolejny, nieznany mi pomnik Kościuszki na wysokiej kolumnie. Spieszyliśmy się i Andrzej nie chciał przystanąć. Szkoda.

Stanisław Zbigniew Kamiński

17–19 stycznia 2015 r.



Pomnik Tadeusza Kościuszki w Szydłowiecu

Szkół Budowlanych, to zapewne dyploma-wa rzeźba ucznia Liceum Sztuk Plastycznych i jednocześnie ślad po pierwszej lokalizacji tej szkoły, powstałej w Radomiu w 1990 r.

Na tym powinienem właściwie zakończyć tekst, ale korci mnie, żeby wspomnieć o pomnikach Kościuszki rozsianych po całej Polsce. Jest ich co prawda mniej niż pomników papieża Polaka, liczonych w setkach czy na setki. Jak sądzę, pomników Tadeusza Kościuszki jest co najmniej kilkadziesiąt, nie tylko w Polsce, ale i na świecie. Kopia pomnika stojącego od 1910 r. w Waszyngtonie, autorstwa polskiego rzeźbiarza Antoniego Popiela (1865–1910), została odsłonięta 100 lat później w Warszawie, w miejscu usuniętego po zmianie ustroju pomnika „Poległym w Służbie i Obronie Polski Ludowej”. Monument Kościuszki na koniu, stojący w Krakowie na Wawelu, autorstwa Leonarda Marconiego (1835–1899) i tegoż Antoniego Popiela, jego ówczesnego asystenta, powstał w 1900 r., a na Wawel dotarł dopiero 21 lat później. Jego kopia została podarowana w 1973 r. Polonii w Detroit.

Najbliżej Radomia można zobaczyć pomnik Tadeusza Kościuszki na Rynku w Szydłowiecu. Lubię tamtejszą figurę naczelnika powstania, w skali nieco mniejszej niż naturalna; jest zabawna, niemal groteskowa w przegięciu całej sylwetki, rysach twarzy i geście lewej ręki. Inicjatywa budowy pomnika powstała zaraz po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, pomnik został wzniesiony w 1923 r. Jego autorem jest architekt Antoni Karczewski (1898–1957), który po uroczystości odsłonięcia miał podobno powiedzieć, że jego projekt został „najokropniej wykoszlawiony”.

Domyślam się, że autorzy rzeźbiarskich sylwetek czy popiersi Tadeusza Kościuszki przerysowywali czasem cechy jego fizjonomii, aby nikt nie miał wątpliwości, kogo ukazuje wizerunek. Powstały tym sposobem śmieszne niekiedy przedstawienia jego postaci. Po-

mnik z gatunku zabawnych (do tego figura jakby „po kolana we wodzie”) stał przez lata na rynku w Ujeździe (niedaleko Tomaszowa Mazowieckiego) i ilekroć tamtędy przejeżdżałem – szosa biegnie skrajem placu – jego widok rozśmieszał mnie zawsze. Za którymś razem zabrakło jednak Kościuszki na swoim miejscu i zrobiło mi się smutno. Szukając w internecie informacji o jego losach, dowiedziałem się, że rozbawienie, jakie budził wśród podróżnych, a pewnie również i mieszkańców miasteczka, spowodowało, że groteskowa rzeźba została sprzedana na jakiś charytatywny cel. Dowiedziałem się również, że miejsce humorystycznego przedstawienia zajęł już pomnik poważniejszy w wyrazie, czwarty ponoć wizerunek Kościuszki w Ujeździe. Pierwszy stał tu już przed wojną, drugi, autorstwa ludowego rzeźbiarza, stanął w latach 50., ten był trzecim z kolei upamiętnieniem bohatera narodowego. Jadąc w ubiegłym roku z Andrzejem Brzegowym z Łodzi (gdzie również stoi monumentalny pomnik Kościuszki w centrum miasta), zobaczyłem go na prywatnej posesji pod Ujazdowem, zatrzymaliśmy się i zrobiłem zdjęcia. Całkiem niedawno jechaliśmy, także z Andrzejem i Agatą Morgan do Częstochowy, aby przygotować ekspozycję *Nomen Woman* w tamtejszej Miejskiej Galerii Sztuki, i w miasteczku Kamieńsk spostrzegłem kolejny, nieznany mi pomnik Kościuszki na wysokiej kolumnie. Spieszyliśmy się i Andrzej nie chciał przystanąć. Szkoda.

Stanisław Zbigniew Kamiński

17–19 stycznia 2015 r.

I Międzynarodowy Plener – Kijów 2014 r. Miłoserdja w ikoni

Michał Płoski

fot. Mateusz Śródni

Od 23 listopada do 1 grudnia 2014 r. malowaliśmy w Kijowie ikony, z przeznaczeniem dla szpitali ukraińskich i polskich, które przyjmowały rannych na Majdanie Niepodległości i w późniejszych działaniach wojennych. W plenerze wzięli udział Ukraińcy, Polacy, Francuzka i Słowak. Poniżej zamieszczam fragmenty moich notatek z tych dni.

23 listopada 2014 (niedziela)

Majdan Niepodległości. Plac znany nam z licznych zdjęć i telewizyjnych przekazów. Barykad już nie ma, ściany spalonego domu są zastonięte. Prosiły śnieg.

Idziemy dość stromą ulicą, wzdłuż której ułożone są kwiaty i znicze. Na słupach, pniach drzew, na niedawno ustawionych krzyżach – fotografie młodych mężczyzn. Obok pomarańczowe kaski i tarcze, jakich używali obrońcy. Gdzieś tam tablice z czarnego kamienia z nazwiskami. Na ulicy jest tłoczno. Ludzie za-

trzymują się i kreślą znaki krzyża na piersiach. Tędy biegła „niebieska sotnia”, tu padali ludzie powaleni strzałami snajperów. Celowano tak, aby zabić, strzelano do rannych, do skrywających się za drzewami.

Pod soborem św. Andrzeja. Na ścianie około 500 zdjęć młodych mężczyzn. Pod fotografiami znicze i kwiaty, które dziś zasypuje śnieg – znak żywej pamięci rodzin i towarzyszy z Majdanu Niepodległości. Grupa wolontariuszy zabiera ich ciała z pola walki. Przywieźli stamtąd także zniszczony sprzęt wojskowy, przestrzelone hełmy, fragmenty umundurowania z naszywkami wojskowymi, tablice identyfikacyjne pojazdów, kieszonkowe wydanie Ewangelii z ciemnymi plamami krwi, postrzępiony niebiesko-żółty sztandar... Wszystko to zaprezentowano w galerii u stóp soboru Andrejewskiego, w którym zawisną ikony wykonane przez nas. Jest z nami ksiądz Aleksander ze wschodniej

Ukrainy, wkrótce wróci na tereny objęte wojną. W telefonie komórkowym ma wiele zdjęć. Przesuwa palcem po ekranie, pokazując kolejne. Przy niektórych wyjaśnia: wyrwa po pocisku z wyrzutni Grad, kolejka po wodę techniczną – innej nie ma, teren pod ostrzałem... Mówi, że jego rodzice pozostali po stronie zajętej przez separatystów, nie ma z nimi kontaktu.

Nad nami sobór św. Andrzeja z połowy XVIII w., dzieło Rastrellego, jedna z najpiękniejszych cerkwi Kijowa. Lekkie kopuły jak płomienie św. Ducho. Pięć kopuł, jak pięć ran Chrystusa.

24 listopada 2014 (poniedziałek)

Mieszkamy w monasterze Michałowskim. Fundacja z początku XII w. Rozbudowa w wieku XVII i XVIII. Zrównany z ziemią w latach 1934–1936. Profesor Mykola Makarenko odmówił złożenia podpisu pod opinią komisji zlecającej rozbiórkę. Zginął w łagrze. Odbudowę monasteru zakończono w 2000 r. Przed główną bramą pomnik upamiętniający ofiary Wielkiego Głodu; ten mniejszy, bo jest i inny, ogromny, niedaleko ławry Peczerskiej. W wieży nad bramą urządzono muzeum. Jedynym zabytkiem z najwcześniejszego okresu jest kamień na płytą z płaskorzeźbą: jeździec zastępujący oczy przed Bożą Światłością, któremu z ręki wypadła włócznia. W najwyższym pomieszczeniu bramy dzwonnica, w niej kilkadziesiąt dzwonów różnej wielkości. Pewnej nocy na Majdanie pozostało mało ludzi i Berkut szykował się do ataku. Mnisi otrzymali wiele telefonów, prośb, żeby bić na alarm. Wtedy odezwała się słynna klasztorna dzwonnica. Słychać ją było nawet w odległych dzielnicach.

W soborze Michajłowskim modlitwa na rozpoczęcie pleneru. Biskup udziela nam błogosławieństwa, dotykając krzyżem naszych głów.

25 listopada 2014 (wtorek)

Budzę się i odsłaniam okno. Szaro. Przede mną niebiesko-złota cerkiew, pobielona śniegiem.

Przez biały plac przechodzi dwóch czarnych mnichów, za nimi pies.

W soborze diakon z podniesionym orarionem¹ śpiewa wezwania ektenii². Płoną liczne świece. Pokłony ze znakiem krzyża, kreślonego wielokrotnie trzema palcami. Powtarzane wezwania modlitewne i odpowiedzi chóru.

Wieczór. Kleryk z tutejszego o monasteru opowiada o studentach, którzy schronili się w klasztorze Michajłowskim, gdy ich rozpędzono w listopadową noc. Pobicie studentów spowodowało ową trwającą wiele tygodni manifestację, która obaliła władzę i odmieniła Ukrainę. Kleryk pochodzi ze Lwowa i miał wielu kolegów na Majdanie. Odwiedzał ich. Potem zajmował się rannymi. W klasztorze utworzono główny szpital polowy. Nie spał wówczas przez kilka nocy. Początkowo był zszokowany widokiem ran, później działał jak automat. Pokazuje nam miejsce koło domu, w którym mieszkamy, gdzie składano zwłoki.

26 listopada 2014 (środa)

Idziemy do polskiej ambasady. Peter ze Słowacji, najstarszy z nas, mówi, że brał udział w wielu plenerach, ale po raz pierwszy zaproszono go do ambasady. Rzeczywiście, to nasze wspólne malowanie jest czymś więcej niż zwykłym plenerem. Mówi o tym reprezentujący nas profesor Roman Wasilik z wydziału sztuki sakralnej lwowskiej akademii. Chcemy nasze ikony przeciwstawić śmierci, wojnie, ciemności, wszelkie-

¹ Orarion to długa, wąska szarfa noszona przez diakonów oraz subdiakonów w kościołach chrześcijańskich obrządków wschodnich, przede wszystkim bizantyjskich. Nazwa pochodzi od łacińskiego słowa ora – módl się, ponieważ wznosząc jeden z końców orarionu, diakon daje znak do modlitwy. Orarion symbolizuje skrzydła aniołów [przypis redakcji].

² Ektenia – rodzaj litanii odmawianej w kościołach chrześcijańskich obrządków wschodnich, jest rozpoczynana i śpiewana przez diakona. Składa się z kolejnych wezwań modlitewnych, na które odpowiadają zgromadzeni wierni [przypis redakcji].



fot. Mateusz Środoni

Zdjęcia zabitych i zaginionych w ATO pod cerkwią św. Andrzeja w Kijowie

mu złu. Na koniec spotkania Ukraińcy stanęli razem – malarze i kilku duchownych z monasteru – i zaśpiewali jakąś popularną pieśń o kalinie i Ukrainie. Śpiewali czysto, na wiele głosów, długo.

Wczesny listopadowy mrok. Sobór św. Włodzimierza. Wnętrze oświetlone wyłącznie setkami świec. Wielu rozmodlonych ludzi, choć nie jest to czas nabożeństwa i dzień powszedni. Stoję, żegnając się wielokrotnie, inni znieruchomieli w głębokim pokłonie lub dotykają czołami ikon. Ścienne malowidła Wiktora Wasniecowa i zespołu towarzyszących mu malarzy są słabo oświetlone. W historii malarstwa ikonowego droga podjęta w tym czasie, która w założeniu miała być powrotem do pierwotnych wzorów z użyciem środ-

ków malarstwa zachodniego, uważana jest za chybioną. Wizerunek Bogurodzicy z absydy świątyni inspirowany był XIX-wieczną mozaiką z soboru Sofijskiego i Madonną Sykstyńską Rafaela. Była to próba złączenia dwóch niedających się scalić tradycji. Jednak siła pobożności modlących się ludzi i owo spotkanie w półmroku pozwalają odnaleźć w dziele Wasniecowa znak obecności Matki Bożej.

27 listopada 2014 (czwartek)

Późnym wieczorem wraca Hubert, jeden z polskich uczestników pleneru. Ma obandażowaną głowę. Wyjechali przed świtem, w drodze powrotnej wpadli w poślizg, dachowali. Hubert trafił do szpitala, gdzie założyli mu szwy i prześwietlili głowę. Na szczęście to nic poważnego. Ksiądz Siergiej i kierowca wyszli bez

szwanku. Wizyta u żołnierzy bardzo udana – odwiedzili frontowy batalion. Hubert twierdzi, że nie ma w nich nienawiści, a wzajemne stosunki w oddziałach prawie rodzinne, także w relacjach z przełożonymi. Nie obyło się bez tego, że jako gość z Polski musiał wypić szklankę samogonu.

28 listopada 2014 (piątek)

Pomnik Bohdana Chmielnickiego z 1888 r. Miał wyrażać ideę „jednej, niepodzielnej Rosji”, odgrzewaną obecnie przez zwolenników Putina, a imputowaną wówczas przywódcy kozackiego powstania. Pod kopytami rumaka Chmielnickiego miały znaleźć się figury „jezuity”, „polskiego pana” i „żydowskiego krwiopijcy”. Projekt został zatwierdzony w Petersburgu, ale nie starczyło pieniędzy na wykonanie tych postaci. Chmielnicki wskazuje buławą na północ, na Moskwę. Myślę, że obecnie ten gest nabiera innego znaczenia, niż zakładał Michał Mykieszyn, autor pomnika.

Sobór Sofijski nadal, jak za radzieckich czasów, jest muzeum. Świątynia imponuje ogromem świadczącym o potęgze dawnej Rusi. Słynne mozaiki i freski. Bez modlitwy wiernych gasną jednak nawet największe arcydzieła sztuki cerkiewnej. Matka Boża, ze świetnie zachowanej ogromnej mozaiki z XI w., wznosi ręce w modlitwie, jakby zdziwiona naszą obojętnością.

29 listopada 2014 (sobota)

Wieczór. Mateusz, z którym dzielę pokój, poszedł na Majdan Niepodległości. Czekam na niego i wykańczam ikonę Matki Bożej. Dziś rocznica manifestacji studentów. Z tej okazji



fot. Mateusz Środoni

Pomnik Ofiar Wielkiego Głodu przed bramą główną monasteru Michałowskiego

mają się znów spotkać w tym miejscu i czuć całą noc, zaś rano przyjść do monasteru Michałowskiego na liturgię.

Moja ikona jest gotowa. Zwijam swój warsztat. Wrócił Mateusz. Opowiada o atmosferze Majdanu, która powróciła na tę jedną noc.

30 listopada 2014 (niedziela)

6 rano. Jestem na Majdanie Niepodległości. Przed sceną kilkaset osób, głównie młodzi. Mikrofon jest dostępny dla wszystkich. Ktoś przemawia, potem jakaś głośniejsza muzyka. Wszyscy podskakują, aby się rozgrzać. Czuję się zziębnięty. Nie wiem, jak można wytrzymać takie zimno całą noc, ba, całe tygodnie. Ta niezwykła determinacja i siła musi mieć

głębsze podłoże. Tu chodzi o odrzucenie niesprawiedliwości, kłamstwa i zbrodni, jakimi deprawowana była ta ziemia przez dziesiątki lat. Patrząc na twarze młodych ludzi i jestem przekonany, że oni się nie poddadzą, tak jak ich koledzy, których fotografie widziałem przy soborze św. Andrzeja.

Formuje się kolumna. Na czele łopoczą chorągwie. Ruszają. Śpiew, a potem okrzyk: Sława Ukraini! I odpowiedź setek głosów: Gierojam sława! Monaster wita nas uderzeniem w dzwony.

Ławra Peczerska. W podziemnych korytarzach relikwie kilkudziesięciu świętych.

Do Patriarchatu Moskiewskiego należą dwa najczcigodniejsze prawosławne sanktuaria na Ukrainie: Ławry Poczaiewska i Peczerska. Istnieje duże napięcie między dwoma prawosławnymi kościołami. Podobno obecnie wierni opuszczają większość kościołów związany z Moskwą, przechodząc do kijowskiego. Cerkiew Patriarchatu Kijowskiego, w przeciwieństwie do moskiewskiej, jest otwarta na kontakty ekumeniczne, czego doświadczamy w monasterze Michałowskim.

Wchodzimy do głównego soboru Zaśnięcia Matki Bożej, z pietyzmem odbudowanego w ostatnich latach. Świątynia pochodząca z XI w., później przebudowywana, została wysadzona w listopadzie 1941 r. przez agentów NKWD.

Wracamy miejskim autobusem. W środkach komunikacji i na ulicach często spotkać można zebrzących ludzi lub osoby kwestujące na jakiś cel.

1 grudnia 2014 (poniedziałek)

Od wczoraj koledzy urządzają wystawę. Usunęli duże fotografie spalonych czołgów, robiąc miejsce dla naszych ikon.

W południe przybywa patriarcha Filaret w towarzystwie dwóch biskupów i mnichów z naszego monasteru. Jest także ksiądz ka-

tolicki i pastor luterański, minister kultury Ukrainy, ambasador i konsul Polski. Są obecni reprezentanci wolontariuszy, którzy przywieźli przedmioty z pola bitwy. Seria przemówień, błyskają liczne flesze.

Schodzimy z Peterem i Mateuszem stromą, malowniczą uliczką prowadzącą na Padół, dzielnicę położoną nad Dnieprem. Po drodze podejście schodami na wzgórze zwane Kisielówką, od nazwiska ostatniego polskiego wojewody, którego zamek stał niegdyś w tym miejscu. Piękny widok – Kijów w zachodzącym słońcu. Błyszczą w oddali złote kopuły naszego monasteru. Mijamy dom Bułhako- wa i przypomina mi się owa scena z *Białej Gwardii*, kiedy Helena modli się przed ikoną Matki Bożej i następuje przesilenie w chorobie Turbina. Czy nasze ikony wspomogą rannych i chorych? Czy za sprawą modlitwy powrócą do zdrowia oni i ich sławiona pieśnią Ukraina?

Spacerujemy nad rzeką. O zmierzchu Dniepr wygląda niezwykle malowniczo.

2 grudnia 2014 (wtorek)

Jedziemy metrem. Na środku wagonu stoi ktoś z puszką na piersiach, głośno wykrzykując. Kwestuje chyba na rzecz sparaliżowanych dzieci. Ludzie wrzucają pieniądze. Mateusz wkłada do puszek resztę hrywien, jakie mu zostały. Niedaleko nas stoi para młodych ludzi. Są zajęci sobą, przytulają się, całują. Nic niezwykłego: ona jest bardzo ładna, a on przystojny – zakochani, jak wszędzie na świecie. Tyle że oboje są ubrani w polowe mundury Gwardii Narodowej, z takimi samymi naszywkami jak te na strzępach mundurów, nad którymi zawiesiliśmy ikony. Pewnie, tak jak my, jadą na dworzec autobusowy, tylko że my pojedziemy na zachód, a oni na wschód.

Michał Płoski



GRZEGORZ BARTOS (1976) – pisarz z radomskich Plant, dramaturg, pracownik Służby Więziennej. Autor powieści *Czapki z głów*, *Anarchiści*, *Rozdział zamknięty*, *Opowieść o dwóch meczach i morderstwie* oraz sztuk teatralnych *„Hazardziści”*, *„Wszyscy jesteśmy grubasami”* i *„Nadzy i martwi”* – zrealizowanej jako słuchowisko w doborowej obsadzie przez Teatr Polskiego Radia, a także wystawianej w 2013 i 2014 r. przez Teatr Dakota w Hadze.

Najnowsza powieść *Cukiereczek* to opowieść o policjancie, który prowadzi śledztwo w sprawie zaginięcia byłej mistrzyni w kick boxingu. Jesienią ubiegłego roku książka zdobyła trzecią nagrodę w konkursie na powieść kryminalną Oficyny Wydawniczej RW2010 (Poznań) i jest obecnie przygotowywana do druku.

Poniżej dwa krótkie fragmenty.

Cukiereczek

Grzegorz Bartos

Godziny przed świtem należą do bezsennych włóczęgów. Samotników przesiadujących na klatkach schodowych i w parkowych alejach. Nocą ulice należą do samotności i rozpacz. *Są moje.*

Cukiereczek.

Późno w nocy pies w czerwonych butach wyszedł na miasto. Krótką drogą z Plant przeszedł do Śródmieścia.

Zastał puste ulice. Latarnie i gazony, smętnie zwieszane flagi, szyldy i okna zgaszonych stuletnich budynków.

Nocą to miasto czarnych BMW i audi, i samobójców na motocyklach i w dziesięciopiętrowych blokach. Dziewczyn w skąpych spódniczkach, półprzytomnych, ale przytomnych. Czubów i bójek pod kebabem. Turasów z maczetami do pasa. Rasta debili od jointa do jointa. Ale głównie nocą to miasto pustych ulic, napiętych płyt chodnikowych i szepczących schodowych klatek. Ciemnych okien.

Czego chcesz od miasta?

Żeby oddychało.

Zarżnęli je w rytualnym uboju. To miasto. Komuchy.

Ileż się tego nasłuchał. Włóczęg się po najpodlejszych zakamarkach, rozmawiając z biedakami i utrapieńcami, z zamęczonymi kobietami, ze świadkami zbrodni. W mieście biedy,

zdjętych liczników gazomierzy, zakręconego prądu, kradzionego od sąsiada. Trwałych stuletnich ondulacji i żadnego wstydu. Ponizienia i manipulacji. Słyszał tego tak wiele, że sam zaczął to powtarzać, tak jak nieświadomie z czasem przejął wszystkie przekleństwa swojego ojca i jego zwyczaj uporczywego zaczesywania włosów do tyłu. A kiedy już powtórzył to tysiąc razy, sam również w to uwierzył.

Bo też dlaczego nie? Tu nie było euforii po Okrągłym Stole. Nie było karnawału Solidarności, choć przecież stąd zaczął się KOR. Bo tutaj wszystko zaczęło zdychać. Do tego – kiedy komuchy wrócili do władzy w drugich czy trzecich wyborach – wróciło poczucie, że to miasto z wyrokiem. Że to koniec. Nigdy się nie zmieni. Dorzynali je w rytualnym uboju. Z czterdziestu gigantycznych zakładów zostało kilka, głównie w stanie upadłości. Legenda miejscowych butów też padła. Martwe miasto. Czarna dziura. Prowincjonalna na wskroś miejscina, grajdoł bez kultury, który nieustannie pokutuje za 76 rok. Miejscina bez bohaterów, bo czy było warto, skoro wyszło jak wyszło, skoro nikt nie dostał nagrody, a poza tym – może też przez przypadek trochę tak wyszło. Niektórym szczerze chciało się iść na wiec na Radomia-ka, zaprzeć się tych, od których się zaczęło. A niektórych do dziś wstyd piekło. Nie wykorzystali szansy. Tylko dlaczego wypalili je po 89 roku, komuchy, dlaczego je wykarczowali, czy naprawdę wierzyli, że bez Radomia, Ursusa czy Poznania dalej siedzieliby u władzy, i przecież czy im jest teraz źle? Im jest lepiej niż komukolwiek.

Tyle razy to słyszał i sam też, po wódce, zacietrzewiony, powtarzał: ja jestem pies z martwego miasta.

Ale sam widział, że przecież było też inaczej. Miasto żyło dalej. Może nie było zbyt efektowne, może niewiele się różniło od innych, ale żyło i wyglądało coraz lepiej. Płaciło, bo musiało płacić, frycowe, i co i rusz miało się poczucie, że to kpina jakaś, ale... Mimo wszystko... Nawet jeśli było to miasto ubrane w tanie, używane ciuchy z Anglii, Holandii i Szwajcarii. Ojczyzna staruszków w zielonych bojówkach i sportowych bluzach. Kobiet w pstrokatych kurtkach. Wypranych do cna. Nawet jeśli to miasto morderstw popełnianych dla pięćdziesięciu groszy, sześciu złotych, kurtki i butów. Bezzębnych kochanek. Zawiedzionych braci. Nawet jeśli to miasto jednej tancbudry z zatłoczonym tarasem, za którym nikt nie tęskni i o którym nikt nie opowiada historii wartych powtórzenia. Nawet jeśli to miasto, w którym nikt nikogo nie rozumie, nikt nikogo nie chce słuchać, nikt nikogo nie przekona, jak wszędzie.

Miasto pozbawionych złudzeń, gdzie ludzie po prostu przywykli. Miasto wiecznej chandry. Miasto, w którym nie piętnuje się zła. Nawet jeśli to naprawdę jest miasto z wyrokiem. Nawet wtedy. To miasto żyje. Oddycha.

No i co z tego?

TAŚMA PIERWSZA (00:00:01 – 00:05:23)

Kiedy zaczęłam chodzić na kick boxing do „trzynastki”, najbardziej protestował mój ojciec, znacznie bardziej od matki. Podejrzałam kiedyś z koleżanką treningi i bardzo nam się spodobało. Że było tak efektownie, ale też, że... było jakby dużo tańca. Płynnego ruchu. A ja uwielbiam tańczyć... Nie było dziewczyn w grupie oprócz nas i trener od początku traktował nas jak oczko w głowie. Dociskał, ale nie na tyle, żeby zniechęcić. Mówił, że w Pasłuku jest dwa-

dzieńcia takich jak my. Może to z czasem przekonało mojego ojca. Najpierw było strasznie. Kłócił się i zamykał nas w domu. Wychodził pić. Był dobrym człowiekiem, ale dużo pił. Zamykał nas i szedł pić, zapominał, że nas zamknął i wracał późno w nocy, nieprzytomny. Wychodziłam przez balkon, po piorunochronie...

Jestem dzieckiem czerwca. Siedem sześć. Mój ojciec zobaczył mnie pierwszy raz, kiedy miałam jedenaście miesięcy, niemal rok. Mama kiedyś powiedziała, że wcześniej, przed więzieniem, był zupełnie innym człowiekiem. Że był bardzo dzielny, odważny, bardzo opiekuńczy i nigdy jej nie zawiódł. Że kiedy zaszła w ciążę i chodziła z brzuchem, na wiosnę, to był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, mimo tego wszystkiego, co było dookoła. Do czerwca...

Był ze wszystkimi, a że na niego trafiło... Ktoś go widział, jak stłukł szybę w sklepie, tam gdzie go nawet nie było, inny słyszał, jak wyzywał milicję, czemu chyba trudno zaprzeczyć, jeszcze inny mógł potwierdzić jego udział w bijatyce, w zamieszaniu z gazem łzawiącym w oczach, czy to mógł być on? Jakże to miało znaczenie? Pewnie był. Trafił mu się najgorszy przeciwnik, sędzina, jedna z tych, co zasądzały wyroki wyższe, niż sugerował prokurator. Nie mógł jej wybaczyć. Jakby zasądziła karę na całe jego późniejsze życie. Nie umiał się pozbierać, tylko siedział i wyrzekał na nią, na MO, na wszystkich, nawet na tych, z którymi na wózkach wyjechali z zakładów. Nawet jak miałam już trzynaście lat i zaczęły się te zmiany, które tak niewiele zmieniły. Siedział, pił, przeklinał.

Aż zaczęłam do niego krzyczeć. Obudź się, tata! Przestań! Zaczynj żyć! Powtarzałam tysiące razy. Ale on nie, awers i rewers, upojenie bądź żal.

Ile lat można mieć kaca po jednym strajku? – w końcu pytałam.

Można. A jeszcze po tym, co się działo kilka dni później, na stadionie...

Pamiętam, kiedyś... Miałam osiemnaście lat, może siedemnaście... Zimą przebrana za Świętego Mikołaja rozdawałam cukierki na Plantach. Zarabiałam tak na swoje wydatki. Był straszny mróz, miałam czerwony puchaty kaftan, białą brodę, nieznośne bachory kpiły z moich czerwonych policzków, a garusy nawoływali mnie z progu drzwi do baru, tam u nas. Mikołajko! Mikołajko, chodź do nas!... I siadałam z nimi, bo wszystkich ich znałam, to byli znajomi mojego ojca, piłam herbatę z tą białą brodą z waty zsuniętą z twarzy, i z tymi rozgrzanymi policzkami i zmarzniętym nosem, i przekonywałam ich, że jest sens być honorowym krwiodawcą. Mówiłam im, że nie wierzę w szarego człowieka, szczeniara, i domagałam się innego koloru dla zwykłych ludzi, dla robotli. Dla mojego ojca.

Mamie też nie podobało się, że biegam na treningi, choć trochę mniej. Ale bała się o mnie. Dostaliśmy w tym czasie mieszkanie z miasta, w kamienicy, w zamian za sprzętanie. Codziennie o piątej rano, niezależnie od pory roku, moja mama wychodziła z domu czyścić klatki schodowe, zbierać butelki, zamiatać pety. W cieplejsze dni zawsze jej towarzyszyłam. Czasem też w deszcz, ale wtedy mnie wyganiała, żebym się nie przeziębila przypadkiem. Uciekaj! – wołała i machała miotłą. Ale nie słuchałam jej wcale. Miałam taką ulubioną kurtkę z kapturem, przeciwdeszczową i chowałam się pod ten kaptur i przytrzymywałam jej szuflę na długim kiju, a potem podsuwałam takie foliowe czarne wory na śmieci. Zawsze nazywała ulicę, przy której mieszkaliśmy, Bohaterów Stalingradu.

– Mamo! – wołałam. – To nie jest żadne Bohaterów Stalingradu! To są Planty!

Grzegorz Bartos

Krzyżując szyki mieszając języki. O Widmowym refrenie Agnieszki Mirahiny

Anna Spólna

Agnieszka Mirahina wydała właśnie swoją trzecią książkę, *Widmowy refren*. Bardzo głęboko osadzoną we współczesnej polszczyźnie (dynamicznej, zanieczyszczonej, operującej śmiałym skrótem i rozluźnioną składnią), a jednocześnie w tradycji XIX-wiecznej, zwłaszcza romantycznej poezji. W rozmowie z Romanem Honetem autorka nazwała romantyzm „szaloną odwagą” bycia przeciwko wszystkiemu i wszystkim. Podobną odwagą wykazała się w 21 wierszach pomieszczonych w tomie, pełnych „starych nowych inkantacji/ od szaleństwa do wariacji” („Głosy 3/4”, s. 33).

Tytuł zbioru powtarza tytuł eseju Mirahiny poświęconego Andrzejowi Sosnowskiemu, do przeczytania na internetowej stronie „Dwutygodnika”. Tam znajdziemy objaśnienie, czym jest dla poetki „widmowy refren”, które jednak – jak sędzę – nie jest konieczne, by obcować z jej książką. Warto jednak wiedzieć, że zbliżając wersy wiersza do magicznych formuł (wbijających się w pamięć na mocy powtórzenia z przekształceniem, według reguły spopolitowanej na przykład w hasłach reklamowych), świadomie nadaje im wewnętrzną dynamikę. Jednocześnie to książka nazywająca pragnienia i lęki kłębiące się wokół nadwrażliwego „ja” artysty („weimar i harar to jasny przytułek” – pisze poetka ironicznie w wierszu „Wesele na helu”, s. 38). Odtwarzająca szybki rytm życia w stolicy oraz pomieszane głosy jej podsłuchanych mieszkańców („Głód 2”, „Konkwista”, „Ekosystem”), odnosząca się z fascynacją do zdobyczy nowoczesnej technologii („Złapać trochę słońca...”).

Mirahina chętnie przyznaje się do inspiracji *Schizofrenią* Antoniego Kępińskiego i *Wampirem* Marii Janion. Szaleństwo i wampiryzm: tak można potraktować bezceremonialne sięganie po frazy i obrazowanie dobrze znane z tradycji poetyckiej. Poetka praktykuje obcowanie z przeszłością literatury poprzez radykalne odnawianie jej znaczeń. Kiedy zde-rza ze sobą cytaty (lub kryptocytaty) i własne, fragmentaryczne zwykle konstrukcje słowne, jest podobna do bricoleura, performerera, postmodernistycznego eksperymentatora. Tworząc, wyraźnie zainspirowana Derridą, „wolną grę” tekstową („dekonstrukcję detonację”, „Dom nad Arsenalem”, s. 37), ryzykuje wiele. Jej wiersze przy pierwszym czytaniu wydają się mało zrozumiałe, rozpadają na mniejsze fragmenty. Strategię kontrastowania stylów łączy poetka z zasadą wprowadzania przytoczeń poprzez rym, także wewnętrzny – stąd początkowe oszołomienie sprzecznymi sygnałami. To, co w *Widmowym refrenie* rozpoznawalne, znajome, jest jednocześnie radykalnie niespójne na poziomie całego utworu. Dopiero kilkakrotna lektura całej książki pozwala dostrzec w tych kolażach powracające obrazy i wariacje (także językowe) na kilka tematów. To owe „widmowe refreny”, przenikające język, a co z tym idzie, płynną rzeczywistość:

to obraz ruchomy na niepodobieństwo
ruchomy obraz ruchome przekleństwo
(„Hi-fi wi-fi”, s. 13)

Królują fragmenty Mickiewiczowskie: „Śniła się zima...”, *Sonety odeskie* i *krymskie*, *Dzia-*

dy, *Pan Tadeusz*, *Liryki lozańskie*. Ale także anonimowi twórcy ludowych zagadek, Biblia, Szekspir, Sęp-Szarzyński, Goszczyński, Wyspiański, Miłosz, Andrzejewski, Tuwim, Bowles, Biedrzycki, Sosnowski... Mirahina ciągnie ich ze sobą jak wyrok i obietnicę zarazem. Nie chce (i nie może) się od nich uwolnić:

mam refren w zawiasach
mój refren widmowy
retoryka pisma erotyka mowy
(„Shell”, s. 15)

Wiersze stają się „maszyną do życia”, życie – „szelestem stron” („Maszyna do życia”, s. 7). Tekstowy świat kusi jak labirynt, „śmiesz, tumani, przestrasza”. Tylko dla odważnych.

Anna Spólna

Agnieszka Mirahina, *Widmowy refren*, Wydawnictwo FORMA. Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy, Szczecin, Bezręcze 2014.

Zapiski muzealnika Jeszcze o sztuce kobiet i kobietach w sztuce

Mieczysław Szewczuk

Tym razem też o dwóch wystawach w Radomiu. Jedna już się zakończyła, druga – w chwili, kiedy to piszę (19 stycznia 2015) – jest jeszcze organizowana.

1. W galerii „Łaźnia” przy ul. Traugutta pokazywana była na przełomie roku wystawa dwóch artystek słowackich, możemy ją uznać za uzupełnienie wcześniejszej „Nomen Woman”. Rí Kmeťová uczestniczyła w „Nomen Woman”, teraz prezentowała większy zestaw fotografii, także autoportretów – na wielu głównie włosy, na innych jej sylwetka; unikała wyraźnej twarzy. W jej komentarzu (wyznaniu) – w katalogu tamtej wystawy – czytamy o autoportretach: „Rejestruję to, co gotowa jestem ujawnić, ale i to, co próbuję ukryć”. Autoportrety bez twarzy lub z twarzą za mgłą – zobaczyliśmy fotografie o wielkiej urodzie.

Na wystawie Evy Hnatovej instalacja – na ścianach, wydruki rysunków, na których wiele twarzy, głów, jak w tłumie ludzi (zawsze z satys-

fakcją, radością patrzę, gdy ktoś umie rysować), a w przestrzeni, na wiszących, wąskich wstęgach kalek białych, czarnych, niebieskich – postaci z rysunków, głowy, twarze powielonych jak odbitki grafik, niektóre w negatywie (sama autorska technika zwraca uwagę), ale też teksty. Jakbyśmy w środku sali odczuwali wzrastające napięcie i ujawniał się sens ukazania tych ludzi, teraz pojedynczych, po kilkoro, wydobytych z tłumu (są wśród nich serbskie kobiety, jest – chyba – Matka Teresa z Kalkuty); wielu rozpaczających. Rysunki składające się na tę instalację stają się apelem o empatię; przypominają, że ludzi na świecie spotykają nieszczęścia, zły los; pokazują cierpiących. Teksty to cytaty z Biblii (autorka cytuje w swoich pracach Psalm, Księgę Hioba, Jeremiasza...); przypomnianie uświadamiają, że taka wizja świata, ukazująca ludzi skrzywdzonych, niepokodzonych, protestujących, to obraz uniwersalny, że tak było od początku (tylko my staramy się nie pamiętać). A powielanie rysunków ma sens – jest po-

fot. Stanisław Zbigniew Kamieński



Instalacja Evy Hnatovej na wystawie „1 + 1”

wielaniem tej wizji, która przez czas spędzony na wystawie otacza nas. U Hnatovej są to przedstawienia współczesnych ludzi, ale ludzkie przeżycia, zachowania, gesty, pozostają zawsze te same; powtarzają się w różnych czasach i miejscach. A cytaty z Biblii pozwalają nam spojrzeć na tych ludzi z perspektywy tysięcy lat.

Dwie artystki – dwie drogi, dwa zadania. „1 + 1”. Pierwsza: poznać siebie, ale też ukazać „urodę świata”; druga: przypominać, że wciąż patrzymy na tragedie, które spotykają ludzi.

Kontakty wydziału sztuki radomskiej uczelni z uczelniami z sąsiednich krajów – nawiązane jeszcze w końcu ubiegłego wieku – z uniwersytetami, m.in. w Bańskiej Bystrzycy i Koszycach, zapoczątkowały prywatne kontakty między artystami. Teraz one umożliwiają nam – radomianom – poznanie słowackich artystów. Kuratorem wystawy był prof. Stanisław Zbigniew Kamieński.

„1 + 1”. Eva Hnatova – rysunek, instalacja; Ria Kmetová – fotografia.

Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria „Łażnia”, ul. Traugutta 31/33.

16 grudnia 2014 – 9 stycznia 2015.

2. To będzie kolejna z tematycznych wystaw prezentujących kolekcję Muzeum Sztu-

ki Współczesnej (choć wystawa eksponowana jest w głównym gmachu Muzeum im. J. Malczewskiego). Czynna będzie do 1 marca – to zapewne ostatnia z wystaw organizowanych przez „wygaszane” radomskie Muzeum Sztuki Współczesnej.

Temat zaproponowała Magdalena Kwiatkowska-Rzodeczko. Obrazy, rzeźby, grafiki, rysunki – ponad 40 artystów, blisko 90 prac z lat 1950–2012, wybranych spośród ukazujących kobietę. Wiele ważnych

dzieł w polskiej sztuce – arcydzieła kolekcji! Wiele różnych spojrzeń na kobiety (ale tradycyjnych aktów niewiele). Tu mogę tylko wskazać, jak różne dzieła znajdują się na wystawie, wymienić tylko niektóre.

W pierwszej części – kobieta w świecie współczesnym. Krzysztof Mańczyński, rysując „Kobiety z Bośni” (1994/95), by ukazać tragizm ich losu – umieścił w tle kobiety wiszące na krzyżach. Kobiety w różnych miejscach świata – są rysunkowe szkice Piotra Wróblewskiego do obrazu „Matka Teresa z Kalkuty” i Kazaszka, „sroga” Apa na obrazie Hilarego Gilewskiego z Karagandy. Ale też chłopki z Podlasia na obrazach Zbigniewa Karpińskiego. Na trzech fotografiach Bernarda Gotfryda – słynne w Ameryce i Europie artystki: aktorka, malarka, pisarka. I polskie artystki, m.in. portrety Agnieszki Osieckiej i Ewy Kuryluk autorstwa Edwarda Dwurnika. Wśród autoportretów nigdy wcześniej nie pokazywany – na tle polskiej sztuki nowatorski, dyktowany przez odwagę młodości – „Autoportret” Ewy Kuryluk z 1965 r. (dar z 2014 r.); autoportret Krystyny Piotrowskiej – z Fridą Kahlo (z cyklu grafik z autoportretem z wielkimi malarzami, też Rembrandtem, van Goghien). Portret Fridy Kahlo, meksykańskiej malarki, najważniejszej artystki dla wielu współczesnych kobiet artystek mo-

żemy też zobaczyć na kolorowej grafice Argentynki – Alicji Scavino z 1996 r.

Codziennosc kobiety w Polsce – całodziennne kręcenie się po domu – ukazuje wczesna w polskiej sztuce instalacja Leszka Sobockiego: „Jeden dzień w życiu kobiety (nie)pracującej” (1972). Zbylut Grzywacz, dla którego temat: „kobiety” był zapewne najważniejszy, ukazywał zarówno uwarunkowania społeczne, jak i wynikające z biologii.

Jak zawsze pokaz kolekcji jest okazją do prezentacji wielu prac dawno, a także nigdy dotąd nie pokazywanych. Jak finezyjne, rysowane delikatną kreską, z ironią, pełne humoru portrety kobiet (pań z ich zwierzątkami) – autorstwa Barbary Gawdzik-Brzozowskiej. Obok rysunki postaci kobiecych Krystyny Brzechwy.

Dwie rzeźby Marii Pinińskiej-Beresiowej (z lat 1968 i 1972) to dzieła prekursorskie w polskiej i światowej sztuce feministycznej. Rzeźba Sylwestra Ambroziaka „Kobieta” (1992) – dwumetrowa postać o pełnych kształtach wydaje się uosobieniem witalności, także wewnętrznej siły. Inni twórcy manifestują erotyzm; marmurowa rzeźba Barbary Falender „Pełnia” (1975) jest przykładem odwagi, manifestacją, czym jest seks. Fantazje erotyczne rysowali Jerzy Skarżyński (tu rysunek z 1950), Jan Lebenstein i Jan Dobkowski. Wizyjne akty kobiet w sztuce Jerzego Nowosielskiego są pozbawione zmysłowości, erotyczne i zarazem mistyczne. Z kolei asamblaż Władysława Hasióra „Czas robi swoje” (1987) mówi o przemijaniu urody ciała.

Wiele dzieł opowiada o relacjach między kobietą i mężczyzną, idealizując lub z ironią, sarkazmem – muzeum otrzymało w darze duże zestawy obrazów Hieronima Skurpskiego i rysunków Adama Hoffmanna, z których po kilka wybraliśmy na wystawę. Obaj poszukiwali metafor ukazujących te relacje. Skurpski malował moment rodzenia się miłości dwojga młodych, a w cyklu „Orbitujący” (1975) stworzył metaforę wspólnego ży-

cia we dwoje, Hoffmann przedstawiał silną między nimi więź i wierność wdów.

Kobiety w Biblii, np. Ewa na obrazie Eugeniusza Muchy pt. „W raju. Grzech”, z 2000 r. – siedząc na kolanach Adama, sięga po jabłko. W mitach, literaturze, gdzie wiele zapamiętanych przez nas postaci kobiet, wiele przeżywa miłość, np. w grafice i rysunkach Jacka Waltosia przypomniana jest Fedra Racine’a i Helena Czechowa, a u Macieja Bieniasza Małgorzata Bułhakowa. Ale też w świecie rzeczywistym, np. nad morzem (obraz Leszka Kłosa z 2012 r.) czy na polskiej wsi (na obrazach Zbigniewa Karpińskiego). A więc obok siebie wielka miłość i zwyczajna codzienność.

Artyści, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, przedstawiają kobiety w różnych sytuacjach i rolach. Patrzymy na osoby im najbliższe: matkę, żonę, czyli kobiety w rodzinie, w małżeństwie. W pierwszej sali dominować będą autoportrety Marii Markowskiej i Krystyny Piotrowskiej z mężami.

Także w sztuce sakralnej – dwa znakomite, ale zupełnie odmienne, przejmujące obrazy za tytułowane „Pieta”. Pierwszy, Eugeniusza Muchy, malowany 1959–1975, z chłopską Matką Boską Bolesną, z siedmioma nożami, nawiązuje do sztuki ludowej, ale ona trzyma na kolanach połamanego świątka...; drugi, Krystyny Brzechwy, z 1984 r., przedstawia matkę księdza Jerzego Popiełuszki z ciałem syna. Te obrazy to ważne wypowiedzi tych twórców o świecie. Jak traktaty.

Tworzyliśmy w Muzeum Sztuki Współczesnej kolekcję, która pozwala ułożyć z tych dzieł obraz świata i wskazać w tym świecie sprawę ważną.

Mieczysław Szewczuk

26 stycznia – 1 marca 2015 r.

„O kobietach w sztuce współczesnej. Prace z kolekcji Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu”. Muzeum im. Jacka Malczewskiego, Rynek 11.



fot. Agnieszka Kulka-Sobkowicz

Fotografie „Pewnego ranka...”

Lidia Ziemińska

Autorka prac Agnieszka Kulka-Sobkowicz jest krakowianką, absolwentką filmoznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jak napisała: „Fotografia jest sztuką narracyjną o tyle, o ile odbiorca opowie sobie sam historię ukrytą za obrazem. Chciałabym, by przeszedł na drugą stronę lustra samodzielnie, by był podglądaczem, który zainspirowany konturami, wypełni znajdującą się między nimi przestrzeń własną treścią... Patrz...”.

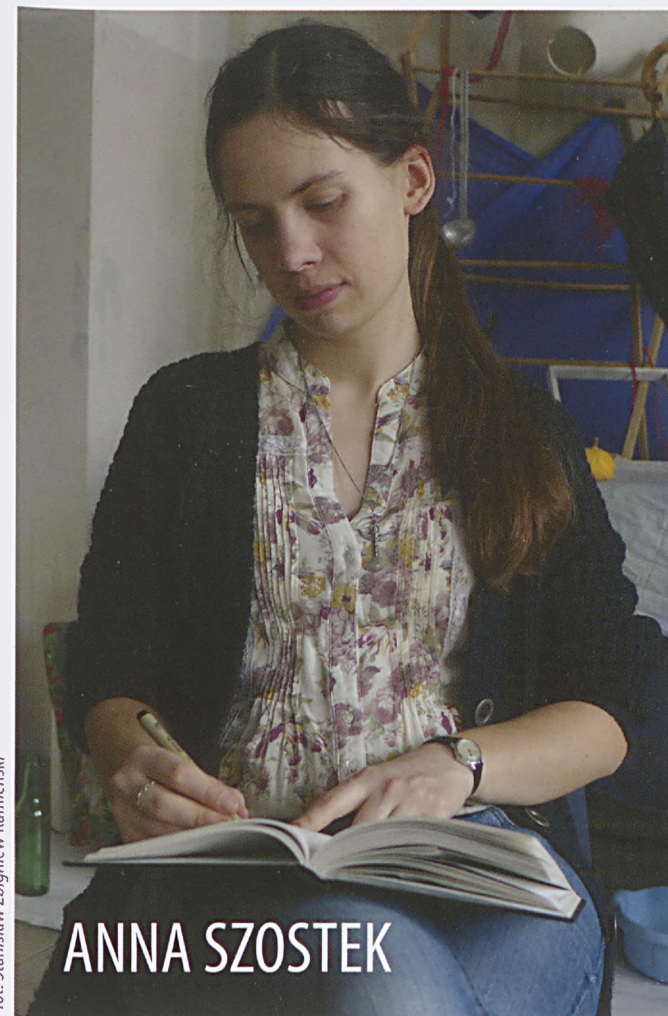
Na radomskiej wystawie prezentuje 25 prac, których tematem jest pejzaż. Jest to zapis, jak stwierdziła, trzech poranków, „zantowanych” aparatem fotograficznym na terenach podkrakowskich. Powstały jako wyraz fascynacji przyrodą, jej pięknem, spokojem i ciszą, nostalgią. Są bardzo „malarskie” w ujęciach.

Większość kompozycji jest statyczna. Na wystawie zobaczymy fotografie, w których

kompozycję budują słupy wysokiego napięcia, zaplątane w ten cichy pejzaż, przecinające puste, odludne pola, nad którymi rozciąga się fioletowe przed świtem niebo.

Wśród wielu barwnych prac uwagę zwracają fotogramy czarno-białe. Trzy z nich przypominają naszkicowane abstrakcyjne rysunki, delikatnie i lekko zarysowane. Wysublimowane. Pojawiają się na nich sylwetki odlatujących jerzyków złowione w lustrzanym odbiciu, rozrzucone wiatrem trawy, graficzne korony drzew widziane z perspektywy żaby. W tle innych zdjęć gubi się wijąca droga, a gałęzie drzew splatają ze sobą, tworząc lukarnę.

„Pewnego ranka...” – wystawa fotografii Agnieszki Kulki-Sobkowicz, Miejska Biblioteka Publiczna, ul. Piłsudskiego 12, Radom, 9–31 stycznia 2015 r.



fot. Stanisław Zbigniew Kamieński

ANNA SZOSTEK

Aнна Szostek, urodzona w 1989 r. w Łodzi. Ukończyła Prywatne Ogólnokształcące Liceum Sióstr Niepokalanek w Szymanowie. Odbiła studia w latach 2008–2013 na Wydziale Grafiki i Malarstwa Łódzkiej ASP (pierwszy rok), a następnie na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego w Radomiu. Dyplom magisterski przygotowała u prof. Adama Romaniuka: praca artystyczna – książka z ilustracjami do wiersza Aleksandra Fredry „Cygan i baba”, praca pisemna z zakresu polskiej ilustracji książkowej dla dzieci. Obecnie zajmuje się ilustrowaniem literatury dziecięcej

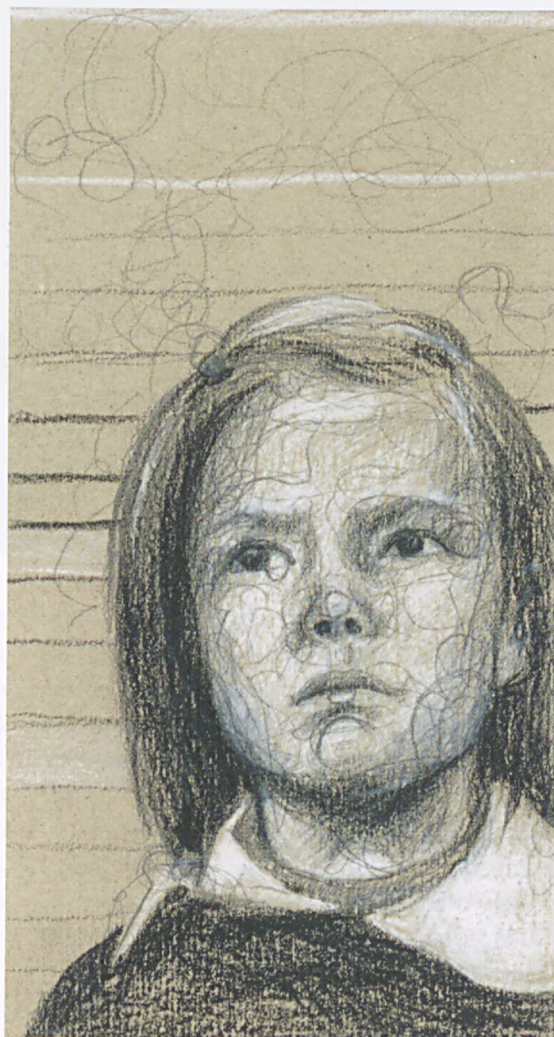
i projektowaniem graficznym. Od 2010 r. jest wolontariuszką Hospicjum Królowej Apostołów w Radomiu.

Gdy chodzi o moją twórczość plastyczną, zawsze najbardziej interesowała mnie postać ludzka. W ostatnim czasie na rysunkach i obrazach umieszczam głównie postacie dzieci, zawieszane w abstrakcyjnej przestrzeni, jakby we śnie. Posługuję się przede wszystkim linią – to ona stanowi dla mnie podstawowy środek wyrazu, niezależnie od tego, czy jest wykonana ołówkiem, cienkopisem, czy innym narzędziem. W wielu moich pracach plama barwna jest również bardzo istotna, może nawet na pozór dominująca, lecz fundament stanowi dla mnie niemal zawsze rysunek linearny, przybierający nieraz formę ornamentalną.

Co bardzo ważne, praktycznie nigdy nie portretuję osób, których nie znam. Lubię natomiast uwieczniać swoich bli-

skich – głównie na podstawie archiwalnych zdjęć z okresu ich dzieciństwa – dlatego na rysunkach można odnaleźć nie tylko mojego brata, ale również mamę czy babcię.

W ostatnim czasie rozpoczęłam nowy cykl barwnych rysunków, ściśle związany z wolontariatem hospicyjnym. Portretuję osoby starsze, które poznałam w hospicjum, podczas wizyt w ich domach – nie jest to łatwy temat, gdyż wiąże się z nim wiele emocji, jednak chcę spróbować przekazać w ten sposób chociaż część przeżyć wiążących się z cierpieniem i przemijaniem.



dziewczynka, 2014 r., ołówek, papier; 21 x 15 cm

dawno temu, 2012 r.

ołówek, kredka, tektura; 20 x 10 cm



huśtawka, 2012 r.

olej, pastel olejny, płyta; 100 x 100 cm

sen II, 2013 r.

olej, pastel olejny, płyta; 50 x 50 cm





we mgle II, 2014 r.
ołówek, pastel olejny, tektura; 70 x 70 cm

we mgle I, 2014 r.
ołówek, pastel olejny, tektura; 50 x 50 cm

dzieciństwo II, 2012 r.
cienkopis, biały marker, tektura; 70 x 70 cm

na następnej stronie
chłopiec, 2013 r.
cienkopis, papier; 30 x 21 cm





dawno temu III, 2015 r.
grafika komputerowa; 30 x 30 cm

młodzi, 2014 r.
cienkopis, papier; 15 x 21 cm

na następnej stronie
dziewczyna, 2014 r.
cienkopis, papier; 21 x 13 cm





stara kobieta, 2014 r.
ołów, pastel olejny, tektura; 70 x 70 cm

Odnowa. Stale od nowa

Robert Utkowski

To już nie jest stary, stabilny i pewny świat. Świat, w którym raz postawione na półce, stało przez długie lata. W którym raz nazwane, dumnie nazywało się na zawsze. Przynajmniej tak się wydawało, choć rzeczywiście, raczej tylko wydawało, bo już Heraklit rozpaczliwie zauważał, że *pantha rhei*. Nic dwa razy się nie zdarza – pisała potem Szymborska, a śpiewała Kora. Touch My Heart – dośpiewywała Danuta Lato nie wiadomo po co, ale każdy chciał touch, bo jej wielkie piersi robiły wówczas furorę. Ale kto by tam słuchał Danuty Lato czy dotykał greckich filozofów. Jedyne, co można zrobić z dobrą radą, to podać ją dalej, mówił Oskar Wilde. W tym rozedrganym oceanie cząstek szukaliśmy pewnych lądów, punktów oparcia, bezpiecznych portów, w których nabrzeża kołysały mniej, a w tawernach można było pić kubkami rum, zanim kutry znów wyjdą w morze.

Dziś organizm już nie toleruje rumu, w każdym razie nie w kubkach, a przydałby się, bo wszystko płynie bardziej. Szybciej. To pewnie to cholerne, globalne ocieplenie klimatu, które powoduje, że niestety jednak jest zimniej. Że zima i lato zmieniły się w dwie nowe pory roku: jedna deszczowa, druga mokra, żeby nie było tak zabawnie. Że wszystko przyspiesza i miesza się na potęgę. Kiedy zaczynałem swoją przygodę (wtedy była to przygoda) z telewizją, uczono nas, że tzw. setka, wypowiedź osoby, czy, jak kto woli „gadająca głowa”, może mieć 30 sekund. Ujęcia w materiałach trwały 5–6 sekund. Teraz tniemy po trzy sekundy, cztery sekundy ciągną się jak flaki

z olejem, setki po 20 sekund (rzadziej tylko dłuższe, wyjątkowo), a najlepiej, gdyby miały z 10 i nie więcej. Ma być trochę dźwięków, trochę przeszkadzajek, taki show bardziej, infotainment. Prosta informacja już nie jest atrakcyjna, chcemy rozrywki. Internet zalał świat wszystkim, co do tej pory było wyrzucane na śmietnik. Największe odsłaniałości robią żarty, docinki, zabawne lub głupie komentarze. Im kto mocniej upadnie, tym większa liczba odsłon. Jak się zabije – rekordy. YouTube płaci za reklamy. Nagraj swojego zarzyganego kumpla – zarobisz. I on też, bo będzie bohaterem sieci. Rozpoznawalny i wielbiony, wielki i szanowany. Każdy może mieć swoje 15 minut sławy. Andy Warhol. Każdy może mieć swoje 15 tysięcy lajków sławy. Ja.

Weź znany utwór i puść go od tyłu. Nałóż na niego posklejane i wyrwane z kontekstu zdania polityków. Wymieszaj. Wsadź do internetu. Czekaj trzy dni. Może urośnie. Próbuje. Bądź twórczy. Bądź aktywnym odbiorcą, bądź użytkownikiem, który produkuje, producentem, wytwórcą, dostarczaj treści tym, którzy na tobie zarobią. Facebook, My Space, Twitter, Youtube, Instagram, koreański Orkut, tajwański Wretch, chiński Baidu i wiele innych.

To jedna strona medalu. Ta bardziej ludyczna. Druga jest taka, że to już niestety (lub stety) taki porządek rzeczy. I nie ma co narzekać. Maszeruj lub giń. Ale śmierć już nie jest w modzie, zatem maszeruj. I ciesz się tym, co ci ten nowy świat niesie. Czerp z niego. Selekcjonuj, wybieraj, konsumuj. Jak zauważał osiem lat temu Zygmunt Bauman, jesteśmy społeczeń-

stwem konsumentów, więc kultura przeobraża się w magazyn produktów przeznaczonych do konsumpcji, rywalizujących o lotną i rozsia-
ną uwagę potencjalnych konsumentów w na-
dziei na ich pozyskanie i przytrzymanie na dłu-
żej niż ulotną chwilę. Przekształca się w jeden
z działów domu towarowego, w którym znaj-
dziesz wszystko, czego potrzebujesz i o czym
marzysz. I, jak dodawał Bauman: kultura skła-
da się dziś z ofert, nie norm.

Tym samym nasze zamiłowanie do prost-
szych rozwiązań nie musi oznaczać, że wy-
padliśmy z kręgu tzw. kulturalnej elity. Dziś
ta elita stała się wszystkożerna. Tak określa
ją Richard A. Petersen. Wszystkożerna. Elita
(to znów Bauman) zmieniała operę na popowe
piosenki, sztukę wysoką na mainstreamową
telewizję. Choć wcale nie oznacza to upadku
sztuki. To nie koniec świata. Wbrew głosom
tych, którzy wieszczili koniec książki – książki
jeszcze się trzymają, wcale nie słabiej niż kilka-
naście lat temu. Dostały nowe życie: wycho-
dzą w wersjach e- lub audio-, ale i te klasycz-
nie przestarzałe, zamknięte w okładki kupki
zadrukowanych kartek też nadal są przecież
obecne. Jak ocenia Lev Manovich, nigdy w hi-
storii sztuki nowoczesnej nie radziła sobie ona
w wymiarze komercyjnym tak dobrze jak dziś.

Dlatego też ta produkcja „kultury” stała się
bardziej intensywna. I choć o istnieniu prze-
mysłu kulturowego mówi się od niemal 100
lat, to właśnie teraz ten przemysł pracuje peł-
ną parą, produkuje niemal każdy użytkownik
sieci, pisząc, komentując, wrzucając zdjęcia.
Powstają patchworki, kolaże, brikolaże, re-
miksi. Ale to, co jest udziałem tej niedającej
się w pełni ogarnąć współczesności, to sta-
ła potrzeba ewolucji, zmiana w trakcie, zmi-
ana trwająca. Pierre Bourdieu stawia tezę, że
płynnie-nowoczesna nakierowana na konsu-
menta gospodarka opiera się na nadmiarze
ofert, które szybko starzeją się i tracą swą
uwodzicielską moc. Przyspieszone starzenie
się – tak, dlatego stale trzeba dawać nowe,

kolejne propozycje. Mem żyje kilka dni, więc
potrzebny jest nowy mem. Jeśli na stronę nie
dostarczysz wystarczająco dużo nowych tre-
ści, zdechnie. Jedna na tydzień – mało, ska-
zujesz się na nieistnieniu. To, co było wczor-
raj na topie, jutro będzie bardzo nieaktualne.
Robiąc i tworząc dziś – już myśl o tym, co bę-
dziesz robił i tworzył jutro. I zrób to inaczej.
Lepiej. Zaskocz. Nie zatrzymuj się.

Ale nie daj się zwieść mocy sieci. Lajki
nie sprzedają produktów, nie robią głosów,
o czym boleśnie przekonali się niektórzy kan-
dydaci z ostatnich wyborów, przeświadcze-
ni, że skoro ich komentarze, posty, wpisy czy
wrzuty dostają po kilkadziesiąt lajków, to man-
dat radnego mają w kieszeni. Łatwiej posta-
wić w internecie łapkę z kciukiem w górę, niż
krzyżek w kratce z nazwiskiem. Bo dziennie
takich lajków można postawić setki. A krzy-
żek w kratce jest tylko jeden.

Ale tak czy inaczej, rządzi zmiana. Tych krzy-
żyków w kratce obok nazwisk też wystarczy-
ło na zmianę. Zmianę, której nawet ci, którzy
przyszli, się nie spodziewali, a na pewno nie
w takim stopniu, a którą ci, którzy odeszli,
przewidywali, choć też nie w takim stopniu.
I nie chodzi o oceny, kto jest lepszy, a kto gor-
szy; na tym etapie nie ma to żadnego znacze-
nia. Chodzi o samą zmianę. Każda zmiana po-
ciąga za sobą lawinę zmian mniejszych, na in-
nych polach, pozornie niepowiązanych, a jed-
nak współtworzących ten skomplikowany or-
ganizm połączonych w jedno ciało komórek.
Siłą napędową nadzieja. Powiało świeże po-
wietrze, więc budzą się nadzieje. Wzrok za-
czyna sięgać dalej, umysł rysuje wizje. Na ro-
zedrganym horyzoncie znów majaczą wiel-
kie piersi Danuty Lato, jakie nie śniły się na-
wet greckim filozofom.

Robert Utkowski



Ponownie w styczniu

Jerzy Kutkowski

W 1991 r. po raz pierwszy uczestniczyłem w widowisku typu „światło i dźwięk” na zam-
ku w Amboise nad Loarą, gdzie ostatnie trzy lata swego życia spędził Leonardo da
Vinci i gdzie został pochowany w kaplicy zamkowej św. Huberta. Był to piękny, bo-
gaty spektakl poświęcony temu wielkiemu artyście. Nie przypuszczałem wówczas, że tego
typu żywe lekcje historii będą wkrótce powszechne w Polsce, również w Radomiu. Wido-
wisk historycznych powstaje tak wiele, że trudno zliczyć miejsca i wydarzenia, które upa-
miętniają. Są małe, lokalne, ale bywają też bardzo rozbudowane – z setkami uczestników,
koni i tysiącami widzów, np. bitwa pod Grunwaldem, oblężenie Malborka czy bitwa pod
Mławą. Tradycyjne formy edukacji historycznej stały się chyba mało atrakcyjne, mimo
wykorzystywania filmów i multimedów, i tu należy szukać źródeł wielkiego zainteresowa-
nia rekonstrukcjami ważnych wydarzeń z historii, podczas których widzowie mogą poczuć
atmosferę, czasem pewnie także grozę wydarzeń z przeszłości.

Radom i ziemia radomska, a szczególnie plenery Muzeum Wsi Radomskiej, były wielo-
krotnie (ponad 30 widowisk) wykorzystywane do odtwarzania ważnych dla nas wydarzeń
historycznych, najbardziej znane są te związane z powstaniem styczniowym. Pomysłodaw-
cą, scenarzystą, reżyserem i głównodowodzącym pierwszej rekonstrukcji walk powstań-
czych w 2005 r. był historyk Przemysław Bednarczyk. Tak jest do dzisiaj. W dziesięciolecie
rekonstrukcji historycznych w Radomiu, 25 stycznia 2015 r., w skansenie ponownie mogli-
śmy wziąć udział w widowisku historycznym „Echa 1863 roku”. Śnieg, który spadł poprzed-
niej nocy, stworzył naturalną scenografię i romantyczny klimat. Plenerowe spotkanie z hi-
storią poprzedziła projekcja filmu „Rok 1863” w budynku szkoły z Kuczek. Ten fabularyzo-
wany dokument, którego scenarzystą i reżyserem był Przemysław Bednarczyk, pokazuje ży-
cie codzienne powstańców, ich sposób myślenia, kłopoty, z jakimi się zmagali i radości bę-
dące ich udziałem. Film otrzymał wiele nagród, m.in. w 2013 r. w Zamościu i „Złotą Szablę”
w Warszawie na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Historycznych i Wojskowych, nagro-
dę specjalną w Częstochowie na Polonijnym Festiwalu Multimedialnym „Polskie ojczyzny”



w 2014 r., „Złotego Kopernika” – główną nagrodę Festiwalu Filmów Edukacyjnych „Eduki-
no 2014”. Około godz. 13 rozpoczęło się widowisko złożone z fragmentów bitwy na grobli.
W dynamicznym, barwnym spektaklu wzięło udział ponad 100 osób: 30 konnych, 60 pie-
szych i ludność cywilna. Po trwającej ponad 2 godz. rekonstrukcji przyszła pora na oficjal-
ne podziękowania i wręczenie dyplomów.

Jerzy Kutkowski
26 stycznia 2015 r.

Głupiego robota „Kolacja dla głupca” Francisa Vebera

Krystyna Kasińska

Od XVI w., szczególnie w Europie, bardzo popularne stały się facecje – krótkie komiczne opowiadania z inklinacją do moralizatorskiego przesłania, zamknięte dowcipną pointą. Jedną z popularniejszych okazał się „Głupi Gała”. Tytułowy bohater, zamożny parobczak, szukał żony, wzorując się na radach mamusi. Niestety, ponieważ i dosłownie, co pociągało za sobą lawinę nieprawdopodobnych i niemądrych zachowań.

Tytułowy głupiec z najnowszej sylwestrowej premiery „Kolacja dla głupca” nie jest wprawdzie bogaty, ale niczym Gała z maestrią komplikuje najprostsze sytuacje. Francois, pracownik państwowej firmy, z oddaniem konstruuje zapalczane makiety słynnych budowli. Dlatego porzuca go żona, wybierając zamożnego partnera. Rozczarowany hobbysta nie potrafi zaakceptować nowej sytuacji, bo za główne zasady swojego życia uważa uczciwość oraz obowiązek pomocy każdemu, kto znajdzie się w tarapatkach. Jest głęboko przekonany, że te kryteria obowiązują każdego. Naiwność prowadzi go prosto w łapy Pierre’a. Znany i zamożny wydawca w gronie podobnych do siebie wazniaków organizuje konkurs na największego głupca. Zwycięża ten, kto przyprowadzi na wspólną kolację najgłupszą osobę. Snobistycznemu Pierre’owi marzy się laur zwycięstwa, więc zaprasza do domu Francoisa, by go poddać wstępnym testom. Pretekstem staje się obietnica wydania albumu ze zdjęciami makiet budowli z zapalek.

Niestety, wszystko idzie niezgodnie z planem. Najpierw wydawcy wypada w czasie kąpieli dysk, a wezwany lekarz kategorycznie odradza towarzyskie spotkanie i zaleca leżenie w łóżku oraz środki przeciwbólowe.

Na odwołanie wizyty gościa jest za późno. Christine, żona Pierre’a, ostentacyjnie wychodzi z domu, bo nie akceptuje zabawy cudzym kosztem. A kiedy pojawia się naiwny konstruktor i zaczyna pomagać gospodarzowi, zaczyna toczyć się i narastać lawina absurdalnych nieporozumień. Najpierw Francois zamiast lekarza wzywa na pomoc Marlene, kochankę Pierre’a. Potem bierze za nią Christine, która wraca do domu, i dziwi się, że ta wściekła wychodzi, zapowiadając, że jej noga więcej tu nie postanie. Pierre spekuluje, że poszła do Leblanca, pisarza i byłego przyjaciela, któremu ją kiedyś odbił. Francois deklaruje pomoc i dzwoni do pisarza, przypominając, że tamten pozna numer, który się wyświetli. Za chwilę i eksprzyjaciel, i Marlene są już na miejscu. Żony nadal nie ma. Kolejny ślad prowadzi do znanego kobieciarza, ale nikt z obecnych nie zna jego adresu. Zna go na pewno Cheval, kontroler skarbowy i kolega Francoisa, który niedawno sprawdzał firmę podrywacza. Urzędnik zgadza się ujawnić adres pod warunkiem, że zostanie kolacja i taśmę z nagraniem meczem, który właśnie trwa. Pod wskazany adres rusza na przespiergi Marlene, a gość zasiada do kolacji. I od razu zauważa jasne plamy w miejscach, z których usunięto jakieś przedmioty. W trakcie jedzenia u Chavala pojawiają się żółdkowe komplikacje i Francois, zamiast do łazienki, kieruje przyjaciela do sypialni gospodarza, gdzie ukryto wszystkie skarby. Akcja zmienia się jak w kalejdoskopie, a dzięki konsekwentnej pomocy Francoisa o kolejne absurdy nietrudno. Aby nie popsuć zabawy, nie sposób jednak zdradzić wszystkiego. I tego, kto okaże się królem głupców, także.



J. Rabenda (Pierre) i Ł. Mazurek (Francois)

„Kolacja dla głupca” idzie kompletami w kilku polskich teatrach. Nasz nie jest wyjątkiem, wolnego miejsca na widowni nie dostrzegłam. Dla mnie jest to jednak zbyt lekka komedia, co nie znaczy, że nie było w przedstawieniu momentów, które mnie szczerze rozbawiły. Dialogi są zabawne, tempo akcji przyzwoite. Ujęła mnie scenografia Wojciecha Stefaniaka. Wnętrze salonu urządzono z umiarem i elegancją, a na ścianach zawieszono piękne kopie obrazów ulubionego przeze mnie Modiglianiego. Przyjemnie dla ucha brzmi muzyczna oprawa, którą wybrał Krzysztof Prałat, a kostiumy Zofii de Ines (poza czerwonymi spodniami Leblanca) dobrze charakteryzują bohaterów, a czasem nawet podkreślają ich charakter. Jeśli chodzi o grę (czyli to, co najmniej wadzi widzom), już tak świetnie nie jest. Tradycyjnie nie mam uwag do Izabeli Brejtkop (Christine) i Marka Brauna (Cheval). Podobał mi się Łukasz Mazurek (Francois), który z wyrazem stoickiego spokoju na twarzy proponował po-

moc, zdziwieniem kwitował komplikujące się sytuacje, a świętym oburzeniem podważanie jego samarytańskich kompetencji, oraz Wojciech Ługowski (opiekuńczy doktor Archambaud). Magdalena Placek (Marlene) odrobinną przerysowała postać kochanki (nawet jeśli uznawano ją za nimfomankę), zaś Kamil Woźniak (Leblanc) stworzył postać bez wyrazu.

Największym moim rozczarowaniem okazał się Jarosław Rabenda (Pierre). Zawsze wysoko ceniłam warsztatowe umiejętności aktora, więc zupełnie nie rozumiem, co się dzieje. Wydaje mi się, że już najwyższy czas wyciągnąć go z szufladki „farsa”, do której trafił, a która mu wyraźnie nie wychodzi na zdrowie. Jarosław Rabenda przejął paskudną modę na wrzaski sceniczne, jakby nie umiał inaczej wygrać bólu, zniecierpliwienia, zdenerwowania, wściekłości czy bezradności. Tego nie ma, jest krzyk, który nuży. Nie wiem, czyim podszeptom ulega ostatnio aktor, ale to są złe rady. Obejrzałam w internecie kilka fragmentów

fot. Marian Strużński

innych polskich realizacji „Kolacji dla głupca”. Nikt tam nie podnosił głosu! Wiem: coraz częściej większość ludzi w kawiarniach, autobusach, na ulicy już ze sobą nie rozmawia tylko wykrzykuje kolejne kwestie. Taki mamy klimat. Ale czy trzeba go przenosić na scenę? Piszę tak o Jarku Rabendzie z żalem, ale chciałabym przypomnieć, że grywał na radomskiej scenie piękne role i w tragediach, i w komediach (w repertuarze Szekspira i w tekstach współczesnych). A kiedy pozwolono mu wyreżyserować „Ostatnią noc Sokratesa”, stworzył piękne pod każdym względem przedstawienie. Więc dawnych czasów mi żal...

Na szczęście nie tylko banalnymi farsami i komediami stoi radomski teatr, by wspomnieć „Dybuka...”, „Pierwszą młodość” czy „Przenikanie”. A już w lutym na afisz wejdzie „Szkłana menażeria” w reżyserii Katarzyny Deszcz, której oczekuję niecierpliwie.

Krystyna Kasińska

Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego w Radomiu. Francis Veber „Kolacja dla głupca” w przekładzie Barbary Grzegorzewskiej. Reżyseria: Zbigniew Rybka. Scenografia: Wojciech Stefaniak. Kostiumy: Zofia de Ines. Opracowanie muzyczne: Krzysztof Prałat. Premiera 31 grudnia 2014 r. Duża Scena im. Z. Wojdana.

Ćwiczenia z wyobraźni „Słowik” według baśni H.C. Andersena

Martyna Bielińska

Na najnowszy spektakl dla najmłodszych w radomskim Teatrze Powszechnym dzieci wraz z opiekunami przybywają tłumnie. Co przyciąga najbardziej wymagających, młodych widzów? Być może absolutna klasyka gatunku, jedna z baśni Hansa Christiana Andersena. Na pewno zapowiedź egzotycznej przygody, przygotowanej w ramach współpracy polskich aktorów i scenarzysty z tajwańskim zespołem artystów Puppet & Its Double Theater. Nie bez znaczenia jest także, że autorzy przedstawienia wybrali formę teatru lalek, znacznie mniej popularną na deskach scen polskich. „Słowik” w wydaniu azjatyckim jest jedną z najbardziej nietuzinkowych i pięknych propozycji repertuarowych radomskiego teatru, do tego (co w przypadku młodej widowni) trwa zaledwie godzinę.

Atrakcją dla najmłodszych widzów stanowi sama trasa do Sceny Fraszka, dokąd wyrusza się z foyer i mija zakamarki teatru: bufet, garderoby, pomieszczenia administracji, by w końcu wdrapać się na trzecie piętro, do niewielkiej sali. Brak kurtyny umożliwia zapoznanie się z przestrzenią gry, nim aktorzy wyjdą na scenę. Widoczne niewielkie białe koło z niebieskim kwadratem w środku sprawia wrażenie minimalizmu i wręcz ascetycznej pustki, czego się nie spodziewałam, idąc na spektakl teatru dla dzieci. Rezygnacja z bajecznej scenografii na rzecz pracy z rekwizytami oraz gry aktorskiej okazała się interesującym wyborem estetycznym. Wizualne wrażenie opiera się na umowności, która ma uruchomić wyobraźnię widzów. Kluczową rolę w „Słowiku” odgrywają niezwykle urody azjatyckie lalki jawańskie, maski, nieliczne rekwizyty oraz muzyka, z dominującą



fol. Marian Strudziński

partią fletu imitującą ptasi śpiew. Do opowieści wprowadza widzów aktorka, przywołując pierwsze słowa baśni, podczas gdy pozostała część zespołu (wszyscy ubrani w czarne kimono) trzymają w dłoniach gałęzie, stając się lasem. Białe koło staje się kolejno pełnym przepychu, lśniącym złotym pałacem cesarskim, fragmentem miasta albo jeziorem, po którym pływa biedny Rybak, zasłuchany w śpiew Słowika, a wszystko to za sprawą zmiany postaci na scenie lub niewielkiej zmiany rekwizytów.

Reżyserka Chia-yin Cheng wraz z autorem scenariusza Michałem Buszewiczem dokonała nie tyle adaptacji baśni Andersena, co jej interpretacji. Kluczowa dla tajwańskiej artystki okazała się kwestia różnic społecznych, które Andersen jedynie nakreśla. Stąd główną postacią została dziewczynka, pomywaczka cesarskiego kuchcika, przyjaciółka Słowika, która nie tylko wskazuje drogę do ptaszyny, ale awansuje do funkcji nadwornej tłumaczki słowiczej pieśni. Morał tej historii wybrzmiewa w ostatniej piosence, traktującej o potrzebie i właściwościach przyjaźni: przyjaciela nie da się przytrzy-

mać siłą ani wykupić darami. Prawdziwa przyjaźń nie zważa na status społeczny. „Słowik” jest przykładem nowatorskiego połączenia teatru lalkarskiego z aktorstwem dramatycznym (znakomici młodzi aktorzy), a w spektaklu zaprezentowano rozmaite formy teatru lalek, z uwzględnieniem widowiskowego teatryku cieni. Stopień interakcji z publicznością był raczej zdawkowy, ale żywe reakcje maluchów dowodzą ciągłego utrzymywania uwagi młodych widzów. Dzieciom najbardziej podobały się Rybak i potrójna maska: starca, młodej kobiety, mężczyzny. Zachłanna Śmierć nie przerażała malców ani trochę, w przeciwieństwie do przejętych tym wątkiem opiekunów.

Martyna Bielińska

Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego w Radomiu. Hans Christian Andersen „Słowik”. Reżyseria: Chia-yin Cheng. Scenografia: Meng-huan Lin, Mong-Han Liang. Premiera: 14 grudnia 2014 r. Scena Fraszka.

Takie tam bobonienie...

Ilona Michalska-Masiarz

Nadszedł nowy rok... To zwykle czas na podsumowania. I na postanowienia, jeśli nasz obrachunek z życiem nie był pozytywny... Nowy rok to nowy początek, szansa na odnowę, na nowe życie...

Przełom starego i nowego wywołuje w nas różne emocje. Jeśli stare było złe, z nowym wiążemy większe nadzieje. Nic dziwnego zatem, że takim okresem w życiu ludzie od dawna przypisują magiczną moc i próbują zaklinać rzeczywistość, obłaskawiać los, odprawiając różne rytuały. Któż nie słyszał, nawet jeśli sam się nie dostosowuje, o tym, że w nowy rok powinno się wejść bez długów, z zapłaconymi zaległymi rachunkami (aby się nie mnożyły), za to z pełną lodówką (by nie dopadła nas bieda), że szykując się na zabawę sylwestrową, koniecznie trzeba założyć coś nowego (co też ma zapewniać pomyślność i dostatek), i o tym, że jaki Nowy Rok, taki cały rok (dlatego 1 stycznia wszyscy jemy smakołyki i nie przepracowujemy się).

A jeśli raz w roku jakaś część społeczeństwa, delikatnie mówiąc, głupiej, to co dopiero dzieje się, gdy ma przyjść naprawdę nowe... Myślę o nowym życiu nie w przenośni, ale w rzeczywistości, fizycznie, czyli o narodzinach... Tą sferą także rządzą magiczne reguły.

Czerwona kokardka przypięta przy wózku „od uroku” to niemal norma. Współczesna cywilizacja oferuje nawet takie udogodnienia jak kupno kokardki gotowej, ślicznie związanej, z wydrukowanym imieniem dziecka, a czasem i z dodatkowym gadżetem w postaci aniołka, serduszka, samochodziku... „Ciężowych zabobonów” jest jednak więcej. Która ciężarna nie usłyszała od bardziej „doświad-

czonych” kobiet, że nie wolno jej patrzeć w lustro (bo zauroczy dziecko), obcinać ani farbować włosów (bo po stryżeniu dziecko będzie miało „krótki rozum”, a po farbowaniu urodzi się rude), nosić na szyi łańcuszka, koraliki czy apaszki i przechodzić pod kablami, sznurami z bielizną (gdyż małe owinie się pępowiną i udusi), nie powinna z nikim dzielić się jedzeniem (bo będzie miała mało pokarmu), niczego kupować dziecku, zanim się urodzi (bo to przyniesie nieszczęście), dotykać ciała, gdy zobaczy mysz, pożar albo czegoś się przestraszy (gdyż dziecko urodzi się ze znamieniem).

To tylko niektóre z katalogu zabobonów żywych nadal wśród wykształconych, dobrze poinformowanych ludzi, choć żyjemy w czasach, gdy nauka wyjaśniła już wiele niewiadomych, które przed wiekami mogły wywoływać lęk i skłaniać do irracjonalnych zachowań. Ale przegląd literatury etnograficznej dotyczącej ciąży, narodzin, połogu czy chrzcin skłania do stwierdzenia, że mimo wszystko mamy łatwiejsze życie, ponieważ o wiele więcej zakazów i nakazów obowiązywało naszych pradziadów... a właściwie częściej prababcie...

Jan Stanisław Bystron, jeden z czołowych XX-wiecznych socjologów i etnografów, zauważył, że izolacja kobiety w pewnych okresach życia wspólna jest wszystkim kulturom niezależnie od stopnia rozwoju społecznego. Okresami tymi były menstruacja, ciąża i połóg. W tych stanach fizjologicznych kobiety były po prostu nieczyste, podlegały więc okresowemu wykluczeniu, a przejście z jednego stanu do drugiego wymagało zastosowania pewnego określonego obrzędu.

Izolacja mogła być terytorialna (najprościej, gdy ciężarna nie mogła przechodzić przez miedzę i wszelkiego typu granice, ale czasami wręcz nie wolno jej było wychodzić z domu), czasowa (np. w Serbii czy w Niemczech przyszła matka nie powinna była przekraczać progu chaty po zachodzie słońca i patrzeć na księżyc w obawie przed złymi duchami) lub funkcjonalna, gdy otrzymała zakaz wykonywania pewnych czynności. Czerpanie wody ze studni groziło wyschnięciem źródła, wychodzenie w pole w okresie pracy na roli czy kwitnienia i dojrzewania zbóż spowodować mogło nieurodzaj, opiekowanie się rozmnażającymi się zwierzętami, zagładanie do ich legowisk czy dojenie krów to pewne nieszczęście. Ciężarnej nie proszono w kumy (bo albo umrze dziecko chrzczone, albo mające się narodzić), na pogrzeb, a nawet na wesela (żeby panna młoda nie miała ciężkiego życia). W okolicach Krakowa wierzono nawet, że jeśli ciężarna przejdzie między dwiema ciężarnymi, to jej dziecko będzie upiorem...

Wiele z zakazów wynikało zresztą wprost z troski o potomstwo. Śmierć zbierała wówczas o wiele większe żniwo, dlatego na wszelkie sposoby starano się zażegnać niebezpieczeństwo. Ostrzegano więc ciężarną, że nie powinna przechodzić pod dyszlem końskiego zaprzęgu, gdyż dziecko może się urodzić okręcone pępowiną. Podobny skutek mogło mieć przechodzenie nad sznurami, łańcuchami, pędami dyni czy ogórków. A gdyby zagładała gdzieś przez dziurkę, to noworodek będzie zezowaty albo będzie miał „uroczne oczy”. Niebezpieczny był każdy kontakt z płomieniem, gdyż, jak wierzono, odbijał się w jakiś sposób na wyglądzie dziecka. Niewskazane było także przyglądanie się ludziom brzydkim, chorym, umierającym lub zmarłym, bo wtedy dziecko może być dziwne. Przestrzegano zwyczaju, aby dla noworodka nie przygotowywać wcześniej ubranek, nie wnosić

kołyski do domu, gdyż może wówczas urodzić się martwy.

Jeśli kobieta przetrwała te dziewięć miesięcy, nie kończyły się bynajmniej ceregiele... Sam poród także wiązał się z szeregiem działań specjalnych. Rodzącą umieszczano za parawanem z białego płótna i wpuszczano do niej tylko zamężne kobiety z rodziny i tzw. babkę, zazwyczaj starszą kobietę doświadczoną w akuszerce. Babka zasłaniała okna, ubierała położnicę w lnianą koszulę, zdejmowała jej z palców pierścionki i obrączki, wyjmowała spinki i agrafki, rozpuszczała włosy, rozwiązywała, rozplatała i rozplątywała wszelkie węzły. Na ułatwienie porodu miało wpłynąć włożenie pod poduszkę książeczki do nabożeństwa, owinięcie brzucha obrusem wielkanocnym czy położenie obok łóżka krzyża, różańca lub świętego obrazka oraz ułożenie kobiety na ziemi lub na progu (traktowanym jako miejsce graniczne). Mogło go także przyspieszyć otwieranie drzwi, okien, skrzyni, szuflad, proszono nawet księdza o odkrycie puszek z komunikantami, albo popa – o uchylenie carskich wrót. Był to rodzaj obrzędowego otwarcia, zwany magią Alkmeny. Nazwa ta pochodzi od imienia matki Heraklesa Alkmeny, której poród był utrudniany przez mściwą Herę. Bogini skrzyżowała nogi i splótła dłonie, aby utrudnić narodziny herosa.

Po porodzie następował okres połogu. Trwał od trzech do sześciu tygodni, a w niektórych kulturach biblijne 40 dni, aż do wyvodu. W tym czasie kobieta uważana była za nieczystą i nie mogła brać udziału w życiu społecznym. Z jednej strony tłumaczono to dobrem dziecka, bo jeśli matka wyszłaby choćby poza próg domu, bies mógłby podmienić noworodka (z tego powodu na Lubelszczyźnie pierwszej nocy po urodzeniu dziecka musiał ktoś przy nim czuwać), a z drugiej – jej nieczystość miała negatywny wpływ, podobnie jak w przypadku ciąży, na plony, chleb, zwierzynę domową czy wodę



w studni. Obecność takiej nieczystej niewiasty nie była wskazana nawet w kościele. Znały by w okolicach Opatowa zwyczaj, że położnicy nie wolno było przed wywodem dotknąć wody święconej... Ciekawy jest również zakaz dotyczący szycia i przędzenia. Występował dość powszechnie, choć w różnych rejonach różnie był uzasadniany. Np. w okolicach Myślenic uważano, że zapobiega on ślinieniu się dziecka, koło Pińczowa dziecko mogłoby dostać kolki, gdyby matka zwyczaj złała, zaś w Niemczech przędząca kobieta „sporządzała sznur dla swego dziecka”.

Do społeczności i pełni praw kobieta wracała po wywodzie. W bliższych nam latach była to wyłącznie ceremonia kościelna, choć prawdopodobnie istniała już w czasach pogańskich i została zaadaptowana. Klęcząc z rękami w modlitwie u wrót świątyni kobietę kapłan kropił wodą święconą i dopiero wówczas mogła wejść do środka. W innych rejonach Polski położnica mogła przekroczyć próg kościoła jedynie od strony zakrystii, bocznym wejściem, a po odmówieniu stosownych modlitw i po błogosławieństwie musiała obejść dookoła ołtarza, aby dopełnić rytuału.

Osobną ceremonią był chrzest, wszak dziecko także trzeba było wprowadzić do społeczeństwa. Narodziny traktowano jako sytuację graniczną – przejście od natury (czyli „świata tamtego”) do kultury („świata naszego”).

Z obawy przed boginkami, mamunami, demonami czy biesami nowego członka rodziny starano się ochrzcić jak najszybciej, nawet już kilka dni do dwóch tygodni po narodzinach. Czasem dziewczynki chrzczono wcześniej, ponieważ „nie należało minąć niedzieli, aby kawalery jej nie mijali”. Siłą rzeczy obrzęd ten odbywał się bez matki, wykluczonej aż do wyvodu. Najważniejszą rolę odgrywała więc babka, owa akuszerka, kobieta nie tylko bardziej doświadczona w sprawach kobiecej fizjologii, ale i mistrzyni ceremonii. Równie ważni byli kumowie. Bycie kumem do tego stopnia wiązało ze sobą rodzinę, że kumostwo uważano za pokrewieństwo duchowe równe pokrewieństwu fizycznemu, co wykluczało np. małżeństwo między pokumanymi osobami.

Kumowie mieli do spełnienia podczas uroczystości konkretne zadanie i ściśle określo-

ne obowiązki. Najważniejszym z nich było obdarowanie dziecka płótnem lub ubranie. Np. na Mazowszu leśnym (to teren na prawym brzegu Wisły, m.in. okolice Kobyłki, Radzymina, Siedlec czy Łukowa) matka chrzestna dawała dziecku koszulkę i czapkę, a czasem i pieluszkę, w powiecie siedleckim – koszulki i pieluszki musiała uszyć ze swego prześcieradła ślubnego, zaś ojciec chrzestny powinien był sprezentować czapkę i pasek. Dodatkowo nowo ochrzczonemu należał się tzw. wiązerek, czyli wsunięte niepostrzeżenie już w kościele lub zaszyte w pieluszkę monety, żeby pieniądze się go trzymały... Chrzestni nie mogli się za bardzo wykpić od tego obowiązku, gdyż groziło im, że jak sami dziecku nawet kawałek płótna nie dali, tak pójdą nago na tamten świat... Zresztą, gdy proszono kogoś na kuma, nie wypadało wręcz odmówić, co przetrwało do naszych czasów w powiedzeniu „Dziecku się nie odmawia”.

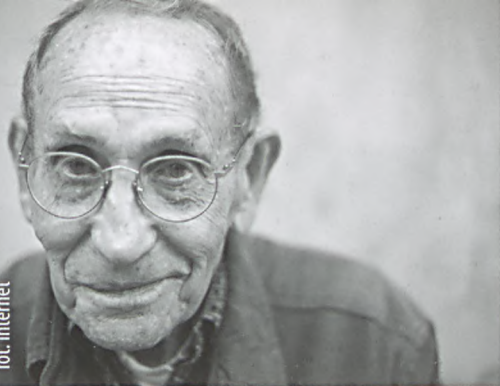
Choć chrzest to ceremonia kościelna, wiązało się z nim wiele zabobonów. Np. aż do chrztu ubierano noworodka w używane, stare rzeczy, nie chcąc, by biesy zorientowały się, że pojawił się na świecie. Przy czym dziewczynkę dobrze było przyodziać lub owinać w męską garderobę, a chłopca – w kobiecy fartuch. Łatwo się domyślić, że po to, aby w przyszłości każde z nich miało powodzenie. Niemile widziani byli też goście, a jeśli już ktoś zaszedł w odwiedziny, nie wolno mu było patrzeć na dziecko, żeby go nie zauroczył. Specjalną procedurę stosowano podczas wyprowadzania z domu. Zwłaszcza jeśli poprzednie dzieci nie chowały się dobrze. Wówczas to nowo narodzone podawano przez okno, aby ominąć próg, pod którym mogły mieć siedlisko niesprzyjające duchy domowe. Kumów wybierano starannie, gdyż wierzono, że dziecko przejmie ich cechy, zaś w drodze do kościoła obserwowano ich zachowanie, z niego wróżąc przy-

szłość. Po przyjeździe do domu kumowie oznajmiali głośno „Wzięliśmy poganina, przynosimy chrześcijanina”, a następnie... kładziono dziecię pod stół. Podobno po to, by było zacięte, złe, żeby nie dało sobie krzywdy zrobić. Choć w innej interpretacji stół oznaczał serce domu i gdy położono na nim napoczęty chleb – wrózano, że dziecku tego chleba nigdy nie zabraknie. Pod Opatowem jeszcze inaczej – kładziono je na klepisko i uderzano lekko różgą, mówiąc przy tym „A nie chodź po wsi, a słuchaj się ojca, matki, a jedz groch z kapustą, będziesz dobry gospodarz”.

Po tych trudnych paru miesiącach wreszcie można było odetchnąć i poświętować. Ojciec szedł więc i spraszał sąsiadów na ucztę. Kobiety przynosiły jadło wszelakie: mąkę, masło, ser, jaja, kury i zaczynały gotować, do mężczyzn należał obowiązek zadbania o gorzałczynę. Zasiadając zaś za stołem, wznosili toast „Pijmy, jedzmy, cieszymy się, bo to jest anielskie wesele”. A skoro było to anielskie wesele, to później powinno być jak w każdej bajce: i wszyscy żyli długo i szczęśliwie...

Ale chyba nikt nie wierzy, że tak było. Wszystkie te ceregiele, rytuały, odstraszanie złego okazywały się być po prostu przesądami, zabobonami... Nic niewartymi, niepopartymi racjonalną wiedzą. Takie tam bobonienie... (gdyż słowo „zabobon” wywodzi się właśnie od tego słowa oznaczającego niewyraźne, mruklawe wypowiedziane przez wróżbitów ich zaklęcia...). Czyli właściwie... albo ciąża przebiegnie szczęśliwie, albo nie, albo poród odbędzie się bez komplikacji, albo nie, albo dziecko będzie się dobrze chować, albo nie... Na dwoje babka wróżyła... Przynajmniej to jedno stare powiedzenie zdaje się być prawdziwe.

Ilona Michalska-Masiarz



Ponad czasem

Grzegorz Sasin

Wędrownka pamięci. Lot nad życiem. Konfrontacja własnego losu z losem pokolenia, wojennego pokolenia. Andrzej (Andrzej Łapicki), bohater „Jak daleko stąd, jak blisko”, odbywa podróż w czasie. Od dzieciństwa po współczesność. Po teraźniejszość, gdzie wszystko jest teraźniejszością, bo przeszłość i przyszłość to złudzenie, iluzja umysłu. Dzieciństwo? Młodość? Śmierć? Igraszki wyobraźni... Andrzej szuka Maksa (Gustaw Holoubek), a raczej tajemnicy jego śmierci. Być może szuka zemsty, gdyż pod twarzą marynarką ukrywa (ale metaforycznie) karabin maszynowy. Andrzej, Maks i inni z Armii Krajowej, powołani do życia, aby ginąć za ojczyznę. „Stać nas na to” – mówi Maciek Chęłmicki w „Popiele i diamencie” Andrzeja Wajdy. Ale ja żyję, a gdzie przebywa Maks? W mojej pamięci, pamięci pokolenia bohaterskich everymanów, bo każdy z nas miał ten sam los, tę samą egzystencję, gdzie życie i los zmieszały się w jeden koktajl absurdu, a może jednak jakiegoś sensu? Maks umarł, Maks żyje ... A ja? Płynę, fruwać nad Warszawą, więc może też jestem duchem? Zjawą z litewskich puszczy.

Jestem Tomaszkiem zaklętym między zmierzchem a świtem krajobrazu „Doliny Issy”. Jestem Tomaszkiem, czyli kim? Litwinem, Tatarem, Polakiem, Białorusinem, Niemcem, Rosjaninem, Żydem, etc. Jestem człowiekiem czy poezją? Jestem pamięcią czy życiem? Kobietą czy mężczyzną? Mężczyzną, bo mężczyźni nie żyją. Są migawką, klatką filmu, który kręć. Wersem wiersza, który grzmi na tle Nowego Jorku: „Widzę mego życia blask”. Blask, który ocalają kobiety w planie filmo-

wym, w planie poetyckim. W kadrze obrazu Tadeusza Konwickiego, w graficznym zapisie Czesława Miłosza. W zapisie mitu Litwy, tej krainy snu, śnionej przez szalonego gawędziarza. Więc może nieistniejącej, bo gdzieś indziej za każdym drzewem, w każdym strumieniu, za każdym głazem czai się miłość, czarownica, duch i śmierć...

Litwa jako baśń. Litwa jako dzieciństwo. Obszar wyobraźni poprzez poezję, poprzez film. Kino jako psychoterapia, stop obrazu i poezji. Konkretny wyraz migotliwości świata, bo: „Film jest grą, która przypomina trochę motyla. Jak motyl ma żywot szalenie krótki, a jednak jego nietrwałość okupiona jest ogromnym, ustokrotnionym odbiorem przez widzów” – powiedział Konwicki w jednym z wywiadów. Ustokrotnionym tym bardziej, że ci widzowie jeszcze pamiętają, jeszcze mają pod powiekami piekielny, nieopuszczający ich pejzaż wojny. To ona określa ich życie (albo nie-życie). Jest ich obsesją, wciąż tkwi w ich głowach, w myślach, w wyobraźni Konwickiego, przekazywanej na taśmę filmową. Przekazywaną, aby ocalić tamten czas, aby odepchnąć od siebie teraźniejszość, bo tym, co jest, co istnieje, nie jest to, co widzimy tu i teraz (niby widzimy), lecz to, co widzimy w pamięci, skarbcu potwierdzającym naszą rację, rdzeń naszego bytu. Ale za to trzeba płacić. Płacić zamknięciem się na dalszy ciąg życia, jak płacą bohaterowie „Ostatniego dnia lata”.

Morze, plaża, wydmy i wiatr. Rozległy krajobraz jakby szczęścia, jakby raj. Kobieta (Irena Laskowska) i mężczyzna (Jan Machulski) są sami. Spotkali się przypadkiem. Próbuje otwo-

rzyć się na siebie. Znaleźć punkt zaczepienia w uczuciu. Ale nie są sami. Jest z nimi ich przeszłość. Podobna przeszłość: blizny wojny. Jej pamięć to narzeczony, który nie żyje, zginął śmiercią lotnika. Jej pamięć to obóz koncentracyjny. On jest młodszy, ale też pamięta. Dlatego też morze i wydmy, słońce i wiatr to tylko oprawa ich spotkania, oprawa pamięci, bo tylko pamięć jest istotą bytu, tylko czas przeszły określa czas teraźniejszy. Nastrój w oczach aktorów, w ich poruszeniach, w świsie wiatru. W powiewach wyobraźni skamieniałej w byłych uczuciach. Byłych, ale wciąż atakujących, natrętnych, zamykających wszelkie próby otwarcia drzwi przeszłości na nowe uczucie, nowe życie, odnalezienie, odszukanie siebie w uczuciu do drugiego człowieka.

Senne, zapluskwione miasteczko. Z autobusu wysiada para – Michał (Edmund Fetting) i Wala (Ewa Krzyżewska). Idą do zjawiskowego, a jednak byle jakiego hotelu i... Nie, nie zaczynają się kochać, lecz ranić się pamięcią. Ranić się wojną. Nie ma ani Wali, ani Michała. Są ich wizje miłości. Ich błędy miłości. Błędy nie do naprawienia, bo nie można korygować pomyłek, skoro ludzie przeminęli, a ich życie zamknęło się niczym chrząszcz w bursztynie, który rusza się tylko za sprawą kamery, fał wyobraźni, przywołującej dziwny, jakby ze snu konterfekt wojny. Wojny zapisanej w tysiącach filmów. Wojny zapisanej w przeżyciu tych, którzy przeżyli. Wojny science fiction dla tych, którzy urodzili się później, poza wojną.

Wala i Michał nie są spoza wojny, są w niej, jako uczestnicy na skali uczuciowej, na skali działania. Bo, poniekąd, z racji ich działań, ich wyborów – ich sytuacja życiowa, ich tu i teraz w smętnym hoteliku są takie, a nie inne. Dwie miłości Michała: śliczna pani porucznik z partyzantki (Elżbieta Czyżewska) i dziewczyna mit, Katarzyna (Beata Tyszkiewicz). Ale śmierć i życie odzierają mit z ciała; pozostaje szkielet. Pozostaje Michał uderzony w czoło bezwzględnością, bujnością życia. Michał jednak

woli bujać się w marzeniach. Śmieszny w swojej impotencji uczuciowej, gdyż woli mit, marzenie, niespełnienie od cielesności, od kształtu, od figury bytu. Cóż, śmieszny dla tych spoza wojny, tych z innego czasu, ale tragiczny dla Konwickiego; jeszcze tragiczny... Tak jak tragiczna jest Wala, bo przecież ona zaprzepaściła miłość przez pryncypia. Najpierw obowiązek, potem seks. Toteż młodzieniec z jej sennego wspomnienia zamiast znaleźć się w jej ramionach znalazł się w grobie. „Idź i ujawnij się na UB” – nakazała mu. On poszedł, a koledzy z oddziału NSZ zabili go. Słusznie postąpiła? Wala nie wie. Wala wspomina. Bo przeszłość to teraźniejszość. Ten hotel, ten Michał to być może tylko pozór. Dobrze jest zamknąć oczy i dać płynąć karaweli pamięci ku skarbowi Indii, bo tylko czas utracony jest czasem prawdziwym, rzeczywistym, sezamem maharadży. I nie spełni się seks, nie spełni się miłość, bo tak chce marzenie, tzn. reżyser Tadeusz Konwicki. On może tak chcieć. Dla widza spoza jego czasu pozostaje tylko zauroczenie rzeką ewokacji, rozświetlonych słońcem pól wojny i smutnej, ciemnej materii hotelowego pokoju w nudnej brzydocie prowincjonalnego miasteczka.

Jeszcze tragiczny... Jeszcze, bo jeszcze nie wykonał salto mortale w „Salcie”. Tym razem pamięć to symbole, rekwizyty, punkty odniesienia. To kompleksy artysty, który wyraża kompleksy społeczne, ograniczone do rówieśników artysty. To kompleksy ojców, a nie dzieci. Mit ucieleśniony w każdym everymanie pt. Kowalski/Malinowski (Zbigniew Cybulski). Wyskakuje on ze pociągu w jakimś miasteczku (też symbolu, też everymanie) i zaczyna snuć swoją opowieść mitomana. Byłem tu w okupację. Tworzyłem tu rzeczywistość bohaterską, jedyną w swoim rodzaju. Wy też tu byliście. Wy Malinowscy i Kowalscy, wy bohaterowie, którzy niestety przeżyli, nie odeszli w heroiczną nicość, lecz przystali na szarą codzienność. A przecież można wysko-

czyć z pociągu. Można wyskoczyć z własnej, obecnej skóry, w której żyjemy, by odnaleźć siebie. Nie zamieszkiwać życia, lecz być swoim życiem. A kiedy byliśmy sobą? Wtedy, gdy tworzyliśmy historię, gdy byliśmy bohaterami, z których teraz nic nie zostało, gdyż bohaterowie są martwi, złożyli swój los na stosie historii. Więc pozostaje nam tylko gest, na jaki zdobywa się podtasiały bohater noweli Wajdy z „Miłości dwudziestolatków”, czy pogrążenie się w katatonii bohaterstwa jak bohater „Mizerykordii”, opowiadania Marka Nowakowskiego. Nie, pozostaje nam powrót, pozostaje ekstatyczne, taneczne salto, aby odwrócić czas. Stać się bohaterami. Wyjść poza nędzę codzienności. I zaczarowani Malinowscy/Kowalscy ruszają w teren wyobraźni, pamięci... Dopóki nie obudzi ich rzeczywistość w postaci żony, dzieci, od których Malinowski/Kowalski zwał w sferę snu. Fałszywy prorok? Fałszywy sen? Nie, wszak była wojna, i jest wojna. Nieważne, że w konstrukcji snu, bo tkanika snów wiedzie się z przeżytej rzeczywistości. Nie, wszak byli bohaterowie, i są – na cokołach pomników. Gloria i chwała trwają!

Tak jak Litwa. Tak jak Mickiewicz, czyli „Lawa” Konwickiego, dopełnienie Litwy, baśni, mitu, Mickiewicza. Z tej interpretacji „Dziadów” wynika jedno: Litwa to poezja. To ojczyzna moja, niezrozumiała dla postronnych. Racja Konwickiego jest oczywista dla mieszkańca centralnej Polski, Mazowsza, gdzie mitem jest tylko Warszawa, miasto oddzielne. A poza tym trzeźwość spojrzenia, realizm, ironia, wzruszenie ramionami na romantyczne rojenia, nad poziomy wylatywania. To może (mogło już tylko?) zdarzyć się tylko na Litwie, tylko w poezji. Bo Litwa to Mickiewicz, to Miłosz, to Konwicki. I w „Lawie” widać tę baśń, to szaleństwo, tę niezrozumiałość i Litwy, i „Dziadów”, o których tony papieru zapisali historycy, krytycy, teoretycy, statystycy, a... A figa! – mówi Konwicki. Bo to jest Litwa, to jest tajemnica, to jest kobieta.

Litwa jest i jej nie ma. Tak jak jest Mickiewicz i go nie ma. Bo czyż nie był on satyrykiem doskonałym, gdy kpił z was, Polaków „centralnych”, gadających w „Salonie warszawskim”. Albo mistrzem czarnej komedii w sekwencji „Pan Senator”, sekwencji, bo to gotowy scenariusz, gotowa oprawa do filmowej akcji, sceneria, w której Henryk Bista jako Senator wznosi się na szczyty aktorstwa, gdy sarkazm, diaboliczność postaci wydobywa, szydząc z pani Rollisonowej: „Syn pani zdrów być musi, gdy tak głośno wrzasnął”. Tajemnic „Dziadów” film Konwickiego nie rozwiewa, no prawie nie rozwiewa, ale wskazuje na fakty najistotniejsze, na to, co nadaje dramatowi Mickiewicza rytm, pulsowanie życia, idei, sztuki. Konwicki to, co niezrozumiałe, przekłada na w miarę zrozumiałe obrazy dla tych mało romantycznych, dla racjonalistów. Wszak oprawia reżyser swoją wizję „Dziadów” w jazdy kamery, ekspresję aktorów, taniec rekwizytów, w poezję pejzaży i słów. Otrzymujemy stop kina i poezji, Konwickiego i Mickiewicza, Litwy i salonu warszawskiego.

„Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,/ Co to będzie, co to będzie?”

Nic nie będzie! Mickiewicz weźmie się do pióra. Konwicki też – i kamerę dołoży. A my będziemy czytać, będziemy oglądać i dziwić się, co ci Litwini wymyślili. Życie to czy sen. A może hipostaza jaka? Właśnie: wszystko jest hipostazą!

Tadeusz Konwicki zmarł 7 stycznia 2015 r. w Warszawie, we własnym mieszkaniu. Odszedł pisarz, wizjoner, który w kształcie filmowego kadru zawarł mit, eksplozję pamięci.

Grzegorz Sasin

Helena Kiesel (1925–2015)



Urodziła się 4 lutego 1925 r. w Lublinie, do Radomia wraz z rodziną przeprowadziła się 1935 r. Maturę zdała na tajnych kompletach w 1943 r. w Radomiu. W 1952 r. ukończyła studia historyczne na Uniwersytecie Wrocławskim, kurs archiwistyki i rozpoczęła pracę w Archiwum Państwowym we Wrocławiu. W 1953 r. wróciła do Radomia i rozpoczęła pracę w Archiwum Państwowym, a 1959 r. została jego kierownikiem. W 1979 r. na Uniwersytecie Wrocławskim obroniła pracę doktorską „Rozwój zakładów dobroczynnych miasta Radomia na tle ogólnych warunków jego rozwoju w latach 1815–1914” i uzyskała tytuł doktora nauk humanistycznych. Do przejścia na emeryturę w 1986 r. kierowała radomskim Archiwum, a później kontynuowała pracę na stanowisku kustosa i angażowała się w działalność społeczną.

Wyróżniona wieloma odznaczeniami, m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Nagrodą im. Jana Kochanowskiego w dziedzinie nauki, oświaty i kultury, medalem Za Zasługi dla Archiwistyki z okazji 30-lecia pracy w Państwowej Służbie Archiwalnej, medalem Bene Merenti Civitas Radomiensis w uznaniu szczególnych osiągnięć naukowych.

Była członkiem założycielem radomskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego i Radomskiego Towarzystwa Naukowego. W RTN przez wiele kadencji pełniła pochodzące z wyboru funkcje sekretarza i wiceprezesa zarządu, była także członkiem kolegium redakcyjnego „Biuletynu Kwartalnego RTN”. Zmarła 4 stycznia 2015 r. w Radomiu. Została pochowana na Cmentarzu Rzymskokatolickim przy ul. Limanowskiego w Radomiu.

O Pani Helenie Kiesel pisaliśmy w „Miesięczniku Prowincjonalnym” nr 1(118), styczeń–luty 2010 r.

Pani Helena. Wspomnienie

Przelanie na papier swej pamięci o drugim człowieku jest zawsze zadaniem trudnym – zwłaszcza gdy chciałoby się wyjść poza prosty schemat biograficznego

opisu czyjegoś życia. Pamięć ta składa się z zwyczaj z drobnych, mniej lub bardziej wyraźnych obrazów, wręcz niemożliwych do połączenia w spójnej narracji. Mam zatem

świadomość, że to krótkie wspomnienie poświęcone Doktor Helenie Kisiel będzie z przyczyn oczywistych ułomne i ukaże tylko pewne aspekty Jej osobowości. Spróbuję jednak z nadzieją, że może czytelnicy, którym dane było poznać Panią Helenę, odnajdą w tym tekście choćby cząstkę samych siebie.

Początek mej znajomości z Panią Doktor datuje się późno, bo na połowę lat 90. XX w. Była już wówczas emerytką, zaangażowaną jednak bardzo silnie w liczne lokalne przedsięwzięcia, związane zwłaszcza z historią naszego miasta i opieką nad jego zabytkami. Tak naprawdę miałem okazję poznać Ją bliżej dopiero po rozpoczęciu pracy w Archiwum Państwowym w Radomiu, gdzie – korzystając ze swej doskonałej znajomości języka niemieckiego – porządkowała akta Urzędu Gubernatora Dystryktu Radomskiego z lat okupacji. Często pracowaliśmy w tym samym magazynie – ja, wydobywając z regałów materiały zamówione przez petentów, a Ona – pieczołowicie układając dokumenty w kolejnych teczkach. Chociaż wówczas tego nie dostrzegałem, dziś już wiem, że Jej praca na wspomnianych aktach była wręcz modelowym przykładem działań archiwisty – żmudnych, wielomiesięcznych, ale zarazem twórczych i owocujących wymiernymi efektami. Pozostawiony przez Niemców stos makulatury potrafiła przekształcić w zbiór szczegółowo opisanych i zewidencjonowanych jednostek, opatrząc go też obszernym wstępem. Ze sporządzonych przez Nią inwentarzy korzystają po dziś dzień historycy i pasjonaci przeszłości przyjeżdżający do radomskiego Archiwum nie tylko z całego kraju, ale – i nie jest to przesada – wręcz z całego świata.

Naszej pracy towarzyszyły też oczywiście rozmowy – nie zawsze długie, ale dla mnie niezmiennie interesujące. Bardzo rzadko wracała w nich do okresu wojny i okupacji. Było to dla mnie wręcz dziwne, bo jeszcze wówczas wydawało mi się, że każdy, kto

przeżył ten czas, musi opowiadać o nim chętnie i z „bojową” swadą. Nic takiego nie miało jednak miejsca. O tym, że była uczestniczką tajnych kompletów i właśnie na nich zdała maturę, dowiedziałem się już po Jej śmierci. Rzadko wracała również pamięcią do początków swej pracy w Radomiu, wspominając tylko czasami katastrofalne warunki, w jakich funkcjonowało Archiwum, rozproszone po różnych, zupełnie nieprzystosowanych do tego celu pomieszczeniach.

Najchętniej sięgała wspomnieniami do lat 60., 70. i 80., kiedy to Archiwum stanowiło swoistą, nie tylko naukową „bazę” dla badaczy pasjonujących się przeszłością Radomia. Pisząc niniejsze wspomnienie, uświadomiłem sobie – a jest to bardzo wymowne – że nigdy nie usłyszałem od Niej jakichkolwiek krytycznych opinii zarówno na temat tych, którzy już odeszli, jak i znanych mi osób. Nie wynikało to z jakiegokolwiek sztuczności, ale wręcz naturalnego nawyku, by mówić o kimś jedynie dobrze, albo po prostu nie mówić wcale. Nawet jeżeli bohater danej opowieści nie popisał się w jakiejś sytuacji, informacja na ten temat była zawsze bardzo ogólnikowa, okraszona szczerym śmiechem, a wina położona na karb „dziwactw”, do których mają prawo ludzie owładnięci pasją. Właśnie tacy prawdziwi pasjonaci, odwiedzający pracownię naukową Archiwum, gościli najczęściej w jej wspomnieniach.

Z ogromnym szacunkiem wspominała zawsze profesora Stefana Inglota, pod kierunkiem którego przygotowywała pracę doktorską. Była w tych opowieściach przede wszystkim wdzięczność dla nestora polskiej nauki, który zechciał zaopiekować się badaczką z powiatowego Radomia. Nie wiem, czy sama zdecydowała się pisać doktorat o radomskim szpitalnictwie i opiece społecznej w okresie nowożytnym, czy też pomysł taki podsunął Jej promotor. Bezsprzecznie jednak praca ta, wydana drukiem, zachowa-

ła po dziś dzień walor wartościowego dzieła naukowego.

Wielką estymą towarzyszyła też Jej wspomnieniom o profesorze Wojciechu Kalinowskim, Kazimierzu Mrozie, Janie Franeckim, Michale Brzęku-Osińskim i wielu innych osobach związanych drogami życiowymi z Radomiem. Szanowała zawsze ludzi, którzy mieli chęć robić coś „ponad” wykonywane zawodowo obowiązki, choćby nawet efekty tych działań miały tylko lokalny wymiar. Już później miałem przyjemność współpracować z Nią we władzach Radomskiego Towarzystwa Naukowego. Chociaż nierzadko reprezentowaliśmy skrajnie odmienne poglądy dotyczące najróżniejszych zagadnień, współpraca ta była zawsze nacechowana obopólną sympatią.

Jej ślady

Panią doktor Helenę Kisiel poznałam u schyłku Jej życia, w 2010 r., podczas pracy nad książką *Ich ślady. Kobiety w historii Radomia*, którą wówczas redagowałam wspólnie z Anną Skubisz-Szymanowską. Poszukiwałyśmy recenzentki, zależało nam, by była to kobieta, gdyż książka ta miała być opowieścią współczesnych radomianek o wybitnych kobietach z przeszłości Radomia. Ktoś, nie pamiętam już kto, zaproponował doktor Helenę Kisiel, i ta propozycja wzbudziła entuzjazm pozostałych autorek książki, które znały Panią Kisiel osobiście i darzyły wielką sympatią i szacunkiem. Chyba jako jedyna z grona autorek Jej nie znałam, znałam jedynie artykuły naukowe Jej autorstwa, publikowane w Biuletynach Kwartalnych Radomskiego Towarzystwa Naukowego. Niedługo potem w towarzystwie Anny Skubisz-Szymanowskiej – dyrektorki

W czasie uroczystości pogrzebowych Pani Heleny jeden z mówców stwierdził, że Jej droga życiowa stanowi doskonały przykład losów polskiego inteligenta, wychowanego w poszanowaniu wartości dominujących w dwudziestoleciu międzywojennym i w okresie okupacji. To bezsprzecznie prawda. Dla mnie osobiście utożsamiała Ona świat odznaczający się przede wszystkim szacunkiem dla systematycznej i cierpliwej pracy oraz sympatią wobec ludzi. Ogromnie żałuję, że nie będziemy już mieć okazji porozmawiania o historii i współczesności.

Sebastian Piątkowski

Miejskiej Biblioteki Publicznej w Radomiu, która wielokrotnie współpracowała z Panią Heleną Kisiel przy organizacji konferencji naukowych czy wystaw – odwiedziłyśmy naszą recenzentkę w Jej radomskim mieszkaniu na osiedlu Nad Potokiem. Otworzyła nam drzwi drobna, bardzo elegancko ubrana starsza pani, pamiętam, że zwróciła moją uwagę srebrna broszka z ciemnym kamieniem, którą miała przypiętą na przedwojennej modłę tuż pod kołnierzykiem jedwabnej beżowej bluzki. Usiadłyśmy przy dużym stole pokrytym równo ułożonymi stosami książek, podobne stosy ułożone były na innych, mniejszych stolikach i krzesłach. Skromne inteligenckie mieszkanie; skromna, uprzejma gospodyni. Nasza książka, którą przyniosłam wówczas do recenzji, była jeszcze w maszynopisie. Chwilę porozmawiałyśmy o najnowszych publikacjach dotyczących Rado-

mia i o naszych planach wydawniczych, zostawiłam na stole szarą papierową teczkę z tekstem książki i umówiłam się na kolejne spotkanie.

Wróciłam po kilkunastu dniach, odebrałam recenzję i maszynopis z naniesionymi ołówkiem uwagami na marginesie kolejnych artykułów. Jasne było, że recenzentka wnikliwie przeczytała wszystkie teksty, poprawiając drobne błędy i przeoczenia. Nasza kolejna rozmowa była chyba dla nas obu zaskoczeniem, dr Kisiel była zdumiona, że książka dotyczy wyłącznie kobiet, odniosłam wrażenie, że oceniała ludzi w kategoriach uniwersalnych, jako ludzi o określonym charakterze i dorobku, niejako poza kategorią płci. W mojej opinii płeć i kształtowane przez kulturę sposoby zachowania, odrębne dla każdej płci, znacząco wpływają na nasze istnienie w świecie, na nasze życie wewnętrzne i kontakty ze światem zewnętrznym. Spotkałam kobietę, która wzbudziła mój szacunek swoją niezależną pozycją, która przez ponad 25 lat kierowała radomskim Archiwum,

publikowała teksty naukowe i w latach 70. XX w. uzyskała stopień doktora nauk humanistycznych. Miałam nadzieję usłyszeć opowieść o uwieńczonej sukcesem kobiecej drodze do samodzielności, emancypacji, do pełnego uczestnictwa w życiu publicznym. Nie usłyszałam, nie wiem nawet, czy Pani doktor Helena Kisiel uważała się za emancypantkę, a jeśli tak było, nie zdradziła się przede mną nawet słowem, ale też nie miała powodu, by coś na ten temat mówić. Wspominała natomiast życzliwość i wsparcie ze strony wielu ludzi nauki, których poznała w związku ze swoją pracą. Jej pracowite życie, zarówno praca naukowa, jak i administracyjna, szacunek i życzliwość, jakimi się cieszyła wśród osób, które ją znały, mówią głośniejsz niż słowa. Była samodzielną, niezależną kobietą, która pozostawiła po sobie wyraźny ślad w historii Radomia.

Agata Morgan

Informacja od redakcji

W poprzednim numerze „MP” (listopad–grudzień 2014) pod tekstem autorstwa Barbary Pikiewicz zatytułowanym „Zdzisław Heńk”, na stronie 38 została zamieszczona ramka z krótkim życiorysem redaktora Heńki, przygotowanym przez redakcję „Miesięcznika Prowincjonalnego”. B. Pikiewicz nie była autorką tego tekstu, nie zgadza się z jego treścią, zwłaszcza ze sformułowaniami „najbardziej znany był z prowadzenia spotkań dziennikarskich...” czy „spotkania te odbywały się także w okresie stanu wojennego”, o czym poinformowała redakcję „MP” w e-mailu, w którym jednocześnie zrezygnowała z dalszej współpracy z naszym pismem. Redakcja „MP” bierze pełną odpowiedzialność za treść notatki, wyjaśniając jednocześnie, że informacje te pochodzą z artykułu „Żywe Słowo” autorstwa Stefana Młodawskiego, który napisał: „Zdzisław Heńk i Jerzy Figas są jedynymi w Radomiu, którzy zarówno w okresie propagandy sukcesu, jak też rozchwytanym roku 81 i ostatnich równie przecież trudnych latach zawsze mieli komplety, a nawet nadmiar widzów. Zawsze też w »Żywym Słowie« uczestniczyli przedstawiciele władz wojewódzkich i miejskich. To też ma swoją wymowę” (Wojewódzki Informator Kulturalny „Kontakt” nr 2/63, luty 1984 r., s. 24).

Pani Redaktor Barbarze Pikiewicz serdecznie dziękujemy za kilkuletnią współpracę z „Miesięcznikiem Prowincjonalnym”.

KRONIKA grudzień 2014 – styczeń 2015

Łża

22.01.2015. W Domu Kultury odbyło się trzecie spotkanie podróżnicze. Prelekcję „Syria – kraj, jakiego już nie zobaczymy” przygotował redaktor „Echa Dnia” Piotr Kutkowski.

Kozienice

16.01.2015. W Kozienickim Domu Kultury otwarta została wystawa miejscowej malarki Leokadii Styś „Marzenia w kolorach”.

16.01.2015. W Muzeum Regionalnym im. prof. Tomasza Mikockiego otwarto wystawę Matthieu Duquenoisa „SAK YAN – magia tajskiego tatuażu”.

23.01.2015. Muzeum Regionalne zaprosiło na otwarcie wystawy „Zatrzymać czas i pamięć. Dawne Kozienice w fotografii”.

Orońsko

6.12.2014. W Centrum Rzeźby Polskiej otwarto wystawę Agaty Zbylut „Szalik i medalik”. Wernisaż poprzedził panel dyskusyjny na temat relacji feminizmu z Kościołem katolickim, a także polityki w modzie i sztuce.

13.12.2014. W Muzeum Rzeźby Współczesnej CRP otwarto wystawę „Krakowska szkoła rzeźby”, na której zaprezentowano prace kilkudziesięciu artystów związanych z Wydziałem Rzeźby krakowskiej ASP. Kuratorem wystawy jest Ewa Janus.

Radom

2.12.2014. W Resursie Obywatelskiej odbył się koncert gitarzysty Michała Trzpioły z big-bandem Mundana. Było to czwarte spotkanie z cyklu „Radomscy muzycy z big-bandem Mundana”, który jest okazją do zaprezentowania publiczności wybitnych muzyków związanych z Radomiem. Organizuje go Resursa i MOK „Amfiteatr”.

4.12.2014. W kawiarence Exlibris w Miejskiej Bibliotece Publicznej otwarto wystawę biżuterii artystycznej z ceramiki autorstwa Ewy Wrzosek.

5.12.2014. W „Łażni” otwarta została piąta do-

roczna wystawa fotografii członków Fotoklubu RP – Region Radomski. Swoje prace pokazało 17 fotografików.

5.12.2014. Uroczystości związane z Międzynarodowym Dniem Wolontariatu odbywały się w kinie Helios i Zespole Szkół Muzycznych, gdzie odbyła się gala, podczas której tytuł wolontariuszki roku 2014 otrzymała Wiktoria Gałęcka. Gościem gali była premier Ewa Kopacz. Obchody święta wolontariatu były jednocześnie podsumowaniem 15-letniej działalności Centrum Młodzieży „Arka”.

7.12.2014. Po raz kolejny odbyło się wielkie malowanie bombek choinkowych, w którym uczestniczyli znani radomianie. W tym roku dochód z aukcji został przeznaczony na pomoc dla chłopca cierpiącego na anoftalię – brak gałek ocznych.

7.12.2014. W Zespole Szkół Plastycznych im. Józefa Brandta odbył się finał wystawy poplenerowej prac uczniów „Kosarzyska 2014”. Zwiedzaniu wystawy towarzyszył kiermasz prac plastycznych oraz aukcja prac plenerowych.

13.12.2017. Radomska Orkiestra Kameralna zorganizowała koncert gwiazdkowy „Swinging with Sinatra”. Wystąpił Jarek Wist z zespołem oraz Radomska Orkiestra Kameralna pod dyktando Jana Miłosza Zarzyckiego. W przerwie koncertu odbyła się aukcja charytatywna bombek choinkowych malowanych przez znanych radomian.

14.12.2014. W Muzeum Sztuki Współczesnej otwarto Ogólnopolską Wystawę Sztuki „43. Salon Zimowy”. Organizatorami wystawy było Stowarzyszenie Artystów Plastyków i Miłośników Sztuki pARTja w Radomiu oraz Wydział Sztuki UTH w Radomiu.

14.12.2014. Pierwsza w tym sezonie artystycznym premiera na scenie Fraszka w Teatrze Powszechnym. Zaprezentowano spektakl „Słowik” według baśni Andersena. Przedstawienie zostało przygotowane we współpracy z teatrem lalkowym z Tajwanu.

16.12.2014. W „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii otwarto wystawę „1 + 1”. Swoje rysunki i instalacje pokazała Eva Hnatová, a fotografie Ria Kmetová.



20.12.2014. W Zespole Szkół Muzycznych odbył się koncert poświęcony pamięci zmarłego w tym roku Paco de Lucí, słynnego gitarzysty flamenco. Wystąpili polscy mistrzowie gitary: Marek Napiórkowski, Jacek Królik i Jarek Dzień.

31.12.2014. Sylwestrowa premiera w Tetrze Powszechnym to zabawna farsa pod tytułem „Kolacja dla głupca”.

8.01.2015. Wystawę fotografii Małgorzaty Derlety otwarto w Domu Kultury Idalin.

9.01.2015. W sali wystawowej Miejskiej Biblioteki Publicznej odbył się wernisaż wystawy fotografii krakowianki Agnieszki Kulki-Sobkowicz.

10.01.2015. Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria „Łażnia” zaprosił na wieczór lwowski. Wystąpił kabaret „Tyliгентne Batiary” z Bytomia. Zespół wykonał koledy oraz zaprezentował lwowskie pieśni i tradycyjne lwowskie dowcipy.

13.01.2015. W Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii „Łażnia” przy ul. Żeromskiego otwarto doroczną wystawę prezentującą dorobek radomskich fotografików, członków RTF-u. Podczas wernisażu wręczono legitymacje nowym członkom towarzystwa.

16.01.2015. W Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii „Łażnia” przy ul. Traugutta otwarta została wystawa Zuzanny Roguskiej, na której artystka pokazała fotografie i rysunki.

16.01.2015. Towarzystwo Muzyczne w Radomiu oraz Zespół Szkół Muzycznych im. Oskara Kolberga to organizatorzy koncertu „Wśród nocnej ciszy...”, który odbył się w sali koncertowej im. Krzysztofa Pendereckiego w szkole muzycznej.

16.01.2015. Wystawę malarstwa radomskiego twórcy Karola Łukasiewicza, stypendysty Kamienicy Artystycznej Rwańska 7, otwarto w galerii OKiS „Resursa Obywatelska”. Wystawa nosi tytuł „Drewocuker”.

16.01.2015. W sali koncertowej Zespołu Szkół Muzycznych odbył się koncert zespołu Gospel Radom, promujący płytę „Kolędowo”.

19.01.2015. W „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii odbył się kolejny koncert radomskiej wokalistki Klaudii Kowalik i jej amerykańskiego mentora jazzmana Stana Breckenridge’a. Prezentowali utwory z drugiej wspólnej płyty „Jazz is alive”.

25.01.2015. W 152. rocznicę powstania styczniowego w Muzeum Wsi Radomskiej odbyło się widowisko historyczne poświęcone temu wydarzeniu. Radomski skansen uczcił w ten sposób bohaterów 1863 r. już po raz dziesiąty.

25.01.2015. W lokalu Piąta Klepka koncertował ceniony radomski gitarzysta Jarosław Jaśkiewicz. Koncert akustyczny w jego wykonaniu zgromadził wielu wielbicieli tego typu twórczości.

25.01.2015. Koncert charytatywny na rzecz Hospicjum Królowej Apostołów odbył się w kościele św. Józefa. Wystąpił znany radomski muzyk i kompozytor Robert Grudzień oraz sopranistka Anna Zagdańska.

26.01.2015. W Muzeum im. Jacka Malczewskiego zorganizowano wystawę „O kobietach w sztuce współczesnej”. Pokazano na niej około 90 prac pochodzących ze zbiorów radomskiej placówki, autorstwa współczesnych twórców, kobiet i mężczyzn, przedstawiających kobietę w różnych sytuacjach życiowych i rolach. Wystawa stanowi uzupełnienie ekspozycji „Kobiety oblicze świata”.

29.01.2015. W OKiS „Resursa Obywatelska” odbyła się premiera filmu dokumentalnego prezentującego wspomnienia radomskich więźniów hitlerowskich obozów zagłady. Film nosi tytuł „Ocaleni” i został zaprezentowany w ramach cyklu „Historia Cię szuka”.

Wolanów

11.01.2015. W hali sportowej Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Publicznego Gimnazjum odbył się koncert kolęd i pastorałek w wykonaniu Zespołu Folklorystycznego „Starosądeczanie” oraz Zespołu Ludowego „Wolanianki”.

21 kwietnia (wtorek)
Jenny Robertson
Anna Janko

22 kwietnia (środa)
Dzień radomski
m.in.: Teresa Ewa Opoka

38 Radomska Wiosna Literacka

21–24 kwietnia 2015 r.

23 kwietnia (czwartek)
Magdalena Tulli

24 kwietnia (piątek)
Otwarcie wystawy malarstwa
Longina Pinkowskiego



**SZKOŁA
JĘZYKOW
OBcych**
od 2001

native speakers
raty 0%
grupy 5-8 osób

JĘZYKI OBCE

dla dzieci, młodzieży i dorosłych
profesjonalnie, kameralnie, niepowtarzalnie

kursy **FUN TEAM** dla 4-5-latków **PROMOCJA**

promocja rodzinna 2+1 GRATIS

przygotowanie do TOEIC i TOEFL
egzaminu

Świetlica edukacyjno-opiekuńcza **POZYTYWKA**

- Dwuzmianowa opieka nad dziećmi w wieku szkolnym 5-10 lat
- Dowóz dzieci po szkole
- Świetne warunki, kameralna i rodzinna atmosfera
- Odpoczynek po szkole, spacer, fachowa pomoc w odrabianiu lekcji (współpraca z biblioteką, zajęcia matematyczne, ortografia na wesoło, szachy, zajęcia artystyczne, zabawy w jęz. angielskim, etc...)
- Ograniczona liczba miejsc



BABEL

26-600 Radom, ul. Krukowskiego 1
(dawna Struga, budynek NOT, II piętro)
www.babel.radom.pl
tel. (48) 385-05-25

ZAPRASZAMY